

AKTUALNOŚĆ WIELKICH IDEI

„Wszakże mamy jeden akt przeszłości, jedno prawo pisane, które zgłębiać, którego duchem przejmować się należy...”

Mamy konstytucję 3 maja”
Adam Mickiewicz (1813 r.)

„Dziwna to i godna uwagi — pisał dnia 8 maja 1833 w redagowanym przez siebie w Paryżu „ELE-GRZYMIĘ POLSKIM Adam Mickiewicz — że” cd 1791 tyje Europa wzięła konstytucję, długo dyskutowanych, wyzwydzianych, macych — zapomnianych. Francja strawiła ich kilkanascie, Wlochy, Niemcy, Hiszpanie, Neapolitanie przysięgali im, wykinali je, a teraz wysmiewają i gardzą nimi. Jedną konstytucję trzeciego maja szanowana w narodzie polskim. W czasie długiej niewoli dzień jej ogłoszenia obchodzono potajemnie we wszystkich prowincjach dawnej Polski, od Kapał aż do Dżyny, w domach, w kościołach, na zgrupowaniach młodzieży. Nie pochodzilo to tylko ze czci dla umarłych, nie ślad, że konstytucję trzeciego maja zaraz po narodzeniu zabito — bo wiele było podobnych nieboszczaków, a żadnemu nie sprawiano i nie sprawiają podobnych egzekwii”.

W czymże więc widział wielki poeta powód powszechnego i gorącego przywiązania do tradycji trzeciomajowej „prawa”? W tym, że „to prawo nie wypadło z głowy pojedynczego mędrka, z ust kilku rozprawiczy, ale wyjęte było z serca wielkiej masy; nie czerni się tylko na papierze, ale żyje dotąd w pamięci, w życzeniach pokoleń; jest więc prawem żywym, zakorzenionym w przeszłości, mającym się rozwinąć w przyszłości”. W kapitalnym tym sformułowaniu zamknął Mickiewicz całą problematykę konstytucji trzeciego maja, sprowadził ją do dwóch zasadniczych zagadnień: zagadnienia genezy i przebiegu samego historycznego faktu („zakorzenione w przeszłości”) oraz zagadnienia jego dalszego oddziaływania na społeczeństwo po katastrofie trzeciomajowej reformy („mające się rozwinąć w przyszłości”).

Nie wszyscy wszakże oceniali konstytucję trzeciego maja tak dodatnio i tak wysoko. Nie tylko entuzjastów, ale i przeciwników miała ona od dnia swych narodzin. Nie trzeba najmnie rozczynywać się szeroko w literaturze historycznej, ani wertować roczników dawnych czasopism, czy stosować akt po archiwach, by się przekonać, że „ustawa rządowa” z trzeciego maja 1791 roku była bardzo różnie oceniana i osądzona. Jedni przypisywali jej cechy „doskonałości moralnej” i „wielkiego rozumu politycznego”, inni widzieli w niej wyraz „egoizmu szlacheckiego” i politycznego niedołęstwa. Dla jednych była przykładem najdoskonalszego i najbardziej polskiego z ducha aktu politycznego, drugrzy podejrzewali w niej coś dooktrynerskiego, „obcego z ducha” albo wręcz intrygę pruską czy masonską. Nie trzeba, powtarzam, szeroko szukać, wady, by się przekonać, że taki jest stan rzeczy, lecz wystarczy po prostu zajrzeć do najnowszego podręcz-

nika historii Polski (S. Arnold, J. Michalski, K. Piwarski, „Historia Polski od połowy XV wieku do roku 1795”, Warszawa 1954, s. 164), albo — jeśli by ktoś podręcznikowi nie dowierzał — do pracy znanego historyka z okresu międzywojennego, gdzie stwierdzimy to samo (Konopczyński W., „Dzieje Polski nowożytnej”, Warszawa 1936, t. II s. 385).

Czymże więc była w Istocie „ustawa rządowa” uchwalona w Warszawie dnia 3 maja 1791, jako wynik dłuższych tajnych narad patriotycznej grupy posłów, przeprowadzona jako zamach stanu wśród niepozabawionej dramatycznego napięcia walki z przeciwnikami reformy, pod naciskiem galerii i mieszczkańskiej ulicy, w atmosferze podniecenia i roztargnionych uczuć patriotycznych? Sięgnijmy do jej tekstu. W jedenaście punktach sformulowano przede wszystkim” zasady nowego ustroju politycznego. W miejsce dawnego chaosu i bezsilności, w miejsce wolnej elekcji, liberum veto, nieusuwalnych i nieodpowiedzialnych dygnitarzy, przewagi sejmików, słowem wszystkiego, co określano gorzką definicją „Polska nierządem stoi” — wchodzili nowoczesnie pomyślane centralne władze kolejalne: rząd, złożony z króla i sześciu ministrów, komisje centralne i wojewódzkie, jako organa wykonawcze, oraz sprawnie działający i decydujący większością głosów sejm; chaos elekcyjny usunięto wprowadzeniem zasady dziedziczości tronu. Rewizję konstytucji powierzano nadzwyczajnemu sejmowi, zbierającemu się co 25 lat. Pięknie i nowocześnie sformulowano zasady powoływania armii. Mieszczanom przyznano (włączając w tekst konstytucji niedawno uchwaloną ustawę o miastach) wolność nabywania dóbr ziemskich, dostęp do urzędów, utraconą nobilitację, szlachcie zaś dozwolono zajmować się handlem i przyjmować prawo miejskie. W chłopach uznano najliczniejszą grupę ludności i właściwych wytwórców krajowych dostatków, nie próbowano jednak bezpośrednio zmieniać ich położenia na lepsze. Wzięto natomiast „pod opiekę prawa i rządu krajowego” wszelkie umowy między dziedzicami a chłopami, przywracając w ten sposób pośrednio sprawiedliwość w szczipnym zakresie, dostęp chłopów do sądownictwa państwowego, odmawiany im od czasów Zygmunta Starego; było to więc nadwzięcie cichaczem jedne z kamieni węgielnych chłopskiego poddaństwa i samowoli pańskiej w stosunku do poddanych. Całkowitą wolność przyznano jedynie obcym przybyszom, którzy mieli prawo osiadać wedle swej woli w mieście czy na wsi zależnie od umowy.

Nie była więc konstytucja trzeciego maja — owo szczone osiągnięcie Sejmu Czteroletniego — krokiem rewolucyjnym, jakimś całkowitym zerwaniem z jedną formacją społeczno-gospodarczą, a przejściem w inną. Nie burzyła ustroju feudalnego (nie było na to wówczas jeszcze rozwiniętych sił), nie usuwała przewagi szlachty w pań-

stwie, nie tykała wielu typowo feudalnych instytucji. Brała jednak wyraźnie w obronę nowe kiejkujące siły, torowała zdecydowanie drogę narastającemu nowemu układowi. Do celu swego zmierzała poprzez zjednoczenie gospodarczo i ideologicznie postępowych kół szlacheckich, (a nawet częściowo magnackich) z wykrystalizującą się z feudalnego stanu mieszczańskiego, coraz silniejszą ekonomicznie, burżuażję. Władzę w państwie miała właśnie pochwycić w swe ręce owa nowa klasa posiadająca, złożona tak z elementów ziemiańskich, jak i burżuażyjnych, z odsunięciem zarówno ubogich mieszczan, jak i chłopstwa, a nawet nieosiadłej szlachty. Nowa klasa posiadająca miała trzymać w swym ręku zarówno własność ziemska, jak i przemysł i handel, przy równoczesnych honorowych prerogatywach szlacheckich (herby). Zarysowywało się coś, co można by określić, jako perspektywę specyficzną „polskiej drogi” do nowej formacji, do kapitalizmu. Była więc konstytucja trzeciego maja dziełem na swój czas postępowym, o dodatnim wpływie na kraj.

Siły neoburżuażyjne czy ściślej ziemiańsko-burżuażyjne do przeprowadzenia swych celów potrzebowały silnego aparatu państwowego. Musiały więc z konieczności wysunąć program wzmocnienia władzy rządowej, zerwania z anarchią, Musiały się więc z kolei znaleźć w zasadniczym konflikcie z jedną stroną z zacoaną kliką magnacką, z drugiej zaś — z zabobnością rządów sąsiednich państw, zwłaszcza rosyjskiego i pruskiego. Magnateria — dla której ideałem były samowole, niczym nie kępowane rządy nad ludnością poddaną przy równoczesnym wyłamywaniu się z posłuchu dla centralnych władz państwowych — ani styszczać nie chciała o jakichkolwiek zmianach ograniczających jej wpływy i zyski, co więcej, posuwała się aż do prośb szukania urzędowego wyrazu jej wszechwładzy w państwie, wysuwając postulat oficjalnego zastąpienia stanowiska króla rządem reprezentantów magnackich rodnin! (Seweryn Rzewuski, Szczesny Potocki). Było to oczywiście wodą na młyn państw zabobnych, usiłujących przeszkodzić wzmocnieniu aparatu państwowego w Polsce, który mógł im skutecznie zagrozić drogą zarówno do grabieży terytorialnych, jak i mieszczania się w wewnętrzne sprawy Polski. Sejm Czteroletni i ludzie konstytucji trzeciego maja nie uleki się wrogich sił, lecz wydali im walkę. Pozostanie to na zawsze ich chlubą. Walka toczyła się w obronie najżywniejszych interesów całego ówczesnego społeczeństwa polskiego, o możliwość rozwoju sił produkcyjnych, o niepodległość. Dlatego dzieło konstytucji trzeciego maja poparty żywiołowo szerokie kłoa uboższego mieszczaństwa, a także najbardziej ideologicznie uświadomione i postępowe koła radykalne. W ogniu rozpalającej się walki, walki o charakterze obrony kraju i praw człowieka przed despotyzmem, konstytucja trzeciego

maja nabrała szybko cech symbolu, stała się sztandarem boju o niepodległość i postępek. Walka poddawała ludzi próbie. Ziarno oddziało się od plewy. Ujawniały zaczęły się prawdziwe zdolności, prawości charakteru i odwaga. Nie jest przypadkiem, że w bojach w obronie konstytucji trzeciego maja zrodzilo się najwzysze, do dziś żywe, bojowe odznaczenie za waleczność: Virtuti Militari.

Powróćmy do sugestywnego i pięknego artykułu Mickiewicza. „Dwa są żywioły — pisał on — dwa duchy w konstytucji trzeciego maja. Jeden z nich cudzoziemiec, Francuz, przybył z Paryża. On to, w czasie Sejmu Czteroletniego obudził długie, bez końca dyskusje o prawach kardynalnych, o podziałach władz, o tytułach, o czasie trwania konstytucji, o jej przyszłych reformach, słowem całą tę gawędę retoryczną, z której tak dobrze korzystali stronnicy Moskwy, którą tak kleili posliwie prostoduszni z prowincji. Ten duch koniecznie żądał scen, jakie działy się w Paryżu; wymyślał teatralne pompy, ogromny hałas przy zaprowadzeniu odmian, które po prostu, po dawnemu dalyby się zrobić. Ten duch na koniec podawaniem w szyderstwo narodowych zwyczajów, narodowego stroju, targaniem się na wiarę przodków, odstraszał znaczną liczbę poczciwych posłów, którzy z jednej strony widząc partię moskiewską, z drugiej patriotów we frackach, w perukach, z Rusem i Monteskiuszem w ręku, wyszydzających ich golone głowy, ich obyczaje, ich sposób mówienia — zrazeni opuścili ręce i przez to wielką wyrządzili szkodę sprawie narodowej.

Ale jest drugi żywioł w konstytucji trzeciego maja, który przetrwał peruki i Russa teorie, i dooktrynerstwo ówczesne, i późniejsze nawet: żywioł narodowy, dziecko tradycji dawnych, karmione nowymi ówczesnymi potrzebami i życzeniami narodu. Tego żywiołu nie wytrawili kilkadziesiąt lat niewoli.”

Mickiewicz uprościł sprawę, częściowo zaś nawet sprowadził ją do elementów powierzchownych, do formy; jakkolwiek widać, że wy-czuwał dobrze także treść reformy. Na to, co nazwalibyśmy kierunkiem ideologicznym konstytucji trzeciego maja, składa się chyba więcej „żywiołów” czy nurtów. Jest niewątpliwie nawiązywanie do dawnych tradycji i urzędów, bądź jako ustępstwo taktyczne wobec ogółu szlachty, bądź niekiedy jako wyraz szczerzego konserwatyzmu, którego nie byli pozbawieni także twórcy konstytucji. Są wpływy paryskie, wpływy obce, ale to rzecz więcej formy, żeby nie powiedzieć mody, niż treści. Jest dalej zasadnicza i silna tendencja do zbudowania państwa, które będzie stać na straży interesów gospodarczych i politycznych postępowego ziemiaństwa złączonego sojuszem z burżuażją; tendencja ta była wynikiem zmian społeczno-ekonomicznych, jakie dokonały się w Polsce w wieku XVIII. Jest wyraźny nurt patriotyczny i niepodległościowy. Jest

wreszcie gadatliwa frazeologia postępową, ale i niewątpliwą, choć dość ostrożnie wyrażaną i jakby podskórny nurt wolności i postępu, zmierzający do celu dalekiego choć wyraźnego, do „rozszerzenia praw obywatelstwa na wszystkie klasy ludu”.

Różnorodność i złożoność, ba, nawet pewna sprzeczność elementów, z jakich złożona jest „ustawa rządowa” z dnia trzeciego maja 1791, wyjaśnia nam tajemnicę oddziaływania jej na społeczeństwo a zarazem stosunek społeczeństwa do niej. W chwili powstawania i w pierwszych dziesiątkach lat była ona przedmiotem entuzjazmu wszystkiego, co postępowe, i co patriotyczne, budziła zaś nienawiść zabobników i wsteczników, uważających ją za „zuchwąją zbrodnię”. Ale nie zapominajmy, że powstała ona w okresie narodzin układu kapitalistycznego, który w początkach swych w porównaniu z feudalizmem był ożywczy, postępowy i twórczy, z biegiem czasu jednak kostniał i stawał się szybko coraz wyraźniej hamulec i przeszkodą w rozwoju sił produkcyjnych.

Szerokie masy naszego narodu przywykły były aż do ostatnich czasów witać dzień trzeciego maja ze szczerem, nieklamnym wzruszeniem. Zwłaszcza ludzie starsi wiekiem przywykli patrzeć nań, jak na ważną rocznicę i święto narodowe. Sam fakt historyczny uchwalenia „ustawy rządowej” z dnia trzeciego maja 1791 roku, scharżił przy tym coraz bardziej na daleki plan, zbywany pobieżnymi referatami dnia poprzedniego, lub wprost rozplywał się w pozabwoilo uchwytnych kształtach mgławicę. Na czoło wybijał się natomiast emocjonalny kompleks patriotyczny, podsyłany silnie momentem natury religijnej. A gdy przed kilkoma laty okupant hitlerowski wystąpił z prowokacyjnymi trzeciomajowymi represjami, stosując w dniu tym masowe aresztowania i łapanki przed kościołami, jeszcze silniej rozognilo go patriotyczna atmosfera związana z rocznicą. Dzień trzeciego maja wyrastał daleko poza proste obchód rocznicy historycznej, stawał się sam przez się potężnym czynnikiem ideologicznym.

Kiedy jednak ogół ludności w obchodzie trzeciomajowym widział symbol gotowości do pracy dla ojczyzny i walki za ojczyznę, klasy posiadające starały się akcentować też założenia konstytucji, które z końcem XVIII wieku niewątpliwie były postępowe, lecz nie mogły uchożdzić za takie w wieku XX. Chodziło głównie o zapewnienie przodującej roli w narodzie elementom ziemiańskim i burżuażyjnym. Wreszcie postawiono kropkę nad „i”, przeciwstawiając obwód trzeciomajowy robotniczemu świętu konflikt między „światem robotników” a „światem panów”. Tragizm konfliktu polegał na tym, że robotnik niejednokrotnie skłonny był upatrywać „pana” czyli wyzyskiwacza w ciężko zarabiającym na życie pracowniku umysłowym, tamten zaś zaczynał posądzać robotnika o wrogą postawę wobec narodu.

Konflikt ten, jak wiele innych, przeszedł już szczęśliwie do przeszłości. Patrzymy dziś na dzień trzeciego maja bez naiwnego entuzjazmu, ale z całym szacunkiem, na jaki on zasługuje. Odrożniamy konkretne postulaty „ustawy rządowej” postępowe i celowe w roku 1791, które dziś byłyby nieaktualne a nawet wsteczne, od jej szczerzego ducha wolności i postępu. Odrożniamy akcesoria związane z epoką i modą zarówno cudzoziemska, jak i rodzima, od zdecydowanej woli obrony całości i niepodległości państwowej. Cenimy śmiałość myśli w szukaniu nowych dróg, odwagę i zdecydowanie, ale i przeczorność w działaniu. Słowem, składamy do przyszłowiowego lamusa historii to, co martwe; korzystamy z tego, co pozostaje żywe.

Już Mickiewicz dostrzegał w konstytucji trzeciego maja to „prawo żywe, mające się rozwinąć w przyszłość”. Przewidywał słusznie, że będzie ono jednym z czynników, który spowoduje katastrofę zabobnych monarchii i odzyskanie przez nową Polskę ziem zagrabionych nawet przed wiekami (jak Śląsk czy Pomorze), że przyniesie z sobą rozszerzenie praw obywatelskich na wszystkich Polaków i silną władzę ludową. W zakończeniu swego artykułu o konstytucji trzeciego maja pisał on bowiem:

„Skoro wypadki wywoła do działania naród polski, komu Opatrzność pozwoli mieć wpływ na losy jego, niech ten szczęśliwy człowiek zajrzy jeszcze w konstytucję trzeciego maja. Może w niej więcej niż my wyczyta; my wyczytujemy kilka kardynalnych życzeń narodu dotąd jeszcze odzyskujących się.”

Pierwszym życzeniem jest nowa ze wszystkimi ciężkościami Polski...

Drugie życzenie, propagandy wolności, jeśli nie jest wyrażone teogorocznym językiem politycznym, daje się czuć w duchu konstytucji. Jeden z jej artykułów powiada, że każdy, kto wejdzie na ziemię polską, jest wolny. Ten artykuł dalej sięga w przyszłość niż wszystkie konstytucje europejskie.

Trzecim życzeniem narodu, jest rozszerzenie wolności na wszystkie klasy narodu; rozumiemy tu przez wolność pełność praw obywatelskich.

Na koniec konstytucja trzeciego maja nadawała wielką obszarność i moc władzy najwyższej. Kto będzie umiał zgadnąć wolę mas, temu naród w Polsce da władzę wielką; tym silniej działać będzie, im lepiej wyrażać zdoła myśl narodu polskiego, rozszerzać wolność.”

Pierwsze życzenie narodu spełniło się w roku 1945 z usunięciem hitlerowskiego okupanta oraz przywilejów ustępującej klasy. Dziś przeszliśmy do pracy nad praktycznym zrealizowaniem drugiego i trzeciego życzenia, nad wprowadzeniem w życie codzienne wolności i pełności praw obywatelskich. Można więc powiedzieć śmiało, że chcemy realizować głównie i do dziś żywe myśli przewodnie konstytucji trzeciego maja rozszerzającej wolność i umacniającej przez to władzę ludu polskiego.

KIEDY redakcja zaproponowała mi napisanie felietonu o polskim handlu zagranicznym, uczeszyłem się niezmiernie — temat bardzo istotny, a równocześnie jakże egzotyyczny. Więcej znaleźć by można w naszej prasie komentarzy o sytuacji na Wyspie Wielkanocnej niż o wymianie handlowej Polski z krajami kapitalistycznymi. Natwile winilem dziennikarzy za tę widoczną lukę w publicystyce zagranicznej. W miarę jednak szukania materiału — gdy w notatniku kolejno wykreslałem źródła informacji, a biurko pozostawało puste — miało oburzenie na ten spisek milczenia. Bo czy można pisać poważnie o sprawie tak konkretnej, jak handel, jeżeli:

- do dnia dzisiejszego nie ukazał się rocznik statystyczny, zawierający choćby najbardziej podstawowe liczby i wskaźniki;
- pierwszy — i chyba do obecnej chwili ostatni — wykaz umów handlowych, zawartych przez Polskę, znajduje się w radzieckiej publikacji o handlu obozu socjalistycznego z roku 1954;
- ostatni autorytatywny artykuł o tych problemach ukazał się w „Nowych Drogach” z stycznia 1953;
- A jednak mimo tego, że wszystkie zebrane przeze mnie materiały zmieściły się z łatwością w kieszonki marynarki, nie zrezygnowałem z tematu. Nie pozwalała na to jego pierwszorzędna dziś waga.
- W tym miejscu wybaczyć, przypominę kilka truizmów.
- Truizm nr 1 — handel międzynarodowy jest zarówno praktycznym wyrazem, jak i gwarancją pokojowej koegzystencji. Gwarancją z pewnością mocniejsza, niż najbardziej uroczyście deklaracje i dyplomatyczne gesty. Co więcej, jest bezwzględnie przekonującym argumentem dla realistycznie myślących kół na Zachodzie: ostatecznie współpraca jest zawsze warta tyle, ile korzyści przynosi.
- Truizm nr 2. Najbardziej dynamiczny rozwój naszej gospodarki nie zapewnią nam samowystarczalności ani dzisiaj, ani w bliskiej

przyszłości. Zeszlorzecne dane — a nie sądzę, by w ciągu 12 miesięcy nastąpiły kardynalne zmiany — ilustrują następująco udział importu w zaopatrzeniu — ju. Przemysł hutniczy — 70 proc. rudy żelaznej, prawie 100 proc. rud manganowych i chromowych. Import skóry — ok. 65 proc., wełny ok. 75 proc., celulozy włókienniczej ponad 60 proc. Dalej wyłącznie lub prawie wyłączy-

istniał zawsze popyt w krajach kapitalistycznych. Ale i przy tej kolonialnej strukturze eksportu udział Polski w handlu światowym systematycznie spadał. Z jednej strony, surowce sprzedawane przez Polskę, mogły być, poza węglem, nabywane jeszcze taniej w krajach kolonialnych. Z drugiej, brak postępów w uprzemysłowieniu kraju nie pozwalał na rozszerzenie doboru ar-

nich. Zeszły rok przyniósł szczęśliwy pomysł wznowienia Targów Poznańskich. Efekt był świetny: 476 firm zagranicznych z 24 krajów europejskich i zamorskich wystawiło swe towary na 20 tysiącach m kw. powierzchni w pawilonach z 3 tys. ir kw. na terenie otwartym. Transakcje zawarte na tej imprezie przekroczyły 117 milionów dolarów. Tegoroczne Targi zapowiadają się

pamiętać o czynnikach hamujących.

Jeden z nich zależy nie od nas, lecz od ogólnej sytuacji międzynarodowej: o tego, co się powszechnie nazywa napięciem międzynarodowym. Działanie owego czynnika ilustruje dobrze historia ostatnich lat. W toku 1946 rozpoczęliśmy handel na szeroką skalę z krajami zachodnio-europejskimi. W bezspornie powojennym okresie węgiel śląski zaspokajał głód paliwa, kiedy to Anglia i zniszczone Zagłębie Ruhry pokrywało tylko w małym stopniu zapotrzebowanie Europy zachodniej. Polska z kolei była pożądanym odbiorcą maszyn. Na tym tle rosły obroty z Francją, Belgią, Włochami, Austrią, Szwajcarią, a później i Anglią. W następnym roku nawiązaliśmy stosunki handlowe z krajami Bliskiego Wschodu i Ameryki Łacińskiej. W ten sposób do roku 1949 notujemy szybki rozwój handlu z krajami kapitalistycznymi. Jednakże od okresu wojny koreańskiej inne — pozaekonomiczne — czynniki dławia ten handel. Na arenę wchodzą Stany Zjednoczone ze swą listą towarów „zakazanych”, długim zestawem embarga bezwzględne (tzw. towarów strategicznych) i względne, pod które podciągano dowolnie wiele wyrobów. Równocześnie wiąże ze sobą kraje Europy zachodniej, zmuszając je np. do takiego nonsensu gospodarczego, jak import węgla amerykańskiego. Na szczęście ostatni rok przyniósł — wraz ze zmniejszeniem napięcia międzynarodowego — poważne ożywienie naszych obrotów. Można też uznać za pewnik, że kryzwa ta wznosić się będzie stale i szybko.

Powinniśmy jednak zwracać uwagę już nie na solidność, ale wprost na doskonałość eksportowanych towarów.

Po tych bardzo ogólnych spostrzeżeniach warto w największym choćby skrócie przedstawić, jak wygląda dzisiaj struktura naszej wymiany handlowej. Widać tutaj wyraźną różnicę pomiędzy krajami kapitalistycznymi Europy a krajami zamorskimi. Weźmy dla przykładu po kilka państw z każdej grupy.

Na podstawie umowy z NRF, obowiązującej do 30.VI. 1956, importu-

jemy z tego kraju wyroby walcowane, chemikalia, barwniki, farmaceutyki, artykuły przemysłu maszynowego, metalowego i precyzyjnego w zamian za węgiel, chemikalia, drewno, tekstylia i niektóre przetwory rolne. Podobne towary wymienia umowa z Austrią, przy czym po stronie importu miejsce maszyn i narzędzi precyzyjnych zajmuje włókno sztuczne i papier. Z Danii sprowadzamy nasiona, chemikalia, śledzie, tabor morski, w zamian za węgiel, maszyny itd. Jak widać, przeważa tu import artykułów przemysłowych, a w eksporcie węgiel i surowce, zawsze jednak — ważna różnica z okresem przedwojennym! — z dodatkiem maszyn i wyrobów gotowych.

Rzecz oczywista, że odwrotnie wygląda nasz handel z krajami Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. I tak z Indii importujemy rudę żelazną i artykuły spożywcze, wywoząc maszyny i urządzenia inwestycyjne, tkaniny bawełniane, chemikalia i lnę. Podobny profil ma umowa z Indonezją, Burmą (traktory), Iranem. Z Egiptu importujemy bawełnę, len i rudy żelazne, w zamian za maszyny, sprzęt inwestycyjny i wyroby gotowe.

Wreszcie, aby przykładem objąć Amerykę Południową, z Argentyną sprowadzamy skóry, wełnę, zboże i oleje roślinne, a wywozimy węgiel, wyroby przemysłowe i maszyny.

Oczywiście, wliczając — choćby przykładowo towary, objętych wymianą handlową Polski i krajów rynku kapitalistycznego jest duża. Ale pozwala nam ono zrozumieć, w jaki sposób zdołaliśmy nawiązać stosunki gospodarcze z owymi 85 krajami; pozwala zrozumieć, dlaczego pawilon polski znalazł się w ubiegłym roku na 7 targach międzynarodowych, zyskując uznanie. Wydaje się, że istotą zarówno aktualnych, jak i dobrych perspektyw, jest fakt jasno czytelny z owych przykładów: fakt wielostronności naszej wymiany. A także fakt, że jesteśmy atrakcyjni zarówno dla krajów wysoko uprzemysłowionych, którym dostarczamy konieczne surowce, jak i dla krajów, które dają nam właśnie wyrobów przemysłowych w zamian za równo potrzebne nam surowce.

MADE IN POLAND

Janusz Stefanowicz

nie z importu — bawełna, kauczuk naturalny, szereg rzadkich metali oraz towary z innych stref klimatycznych, niegdys zwane kolonialnymi, dzisiaj — „delikatessami”. Nawet po uwzględnieniu, iż udział krajów kapitalistycznych w naszym imporcie wynosi tylko ok. 1/3, pozostają liczby poważne i nie do ominienia w naszej gospodarce.

Trzeci truizm jest wiekiem najmłodszy, ale może najbardziej radosny. Już dzisiaj, po dziesięciu zaledwie latach gospodarki socjalistycznej, możemy naszym handlem zagranicznym wpływać aktywnie na zmianę geografii gospodarczej świata. Mamy środki i możliwości, aby udzielać pomocy krajom ekonomicznie zacofanym, krajom, które rozpoczynają dopiero budowę własnej gospodarki.

Powstałe pytanie — jak jesteśmy przygotowani do handlu z krajami rynku kapitalistycznego? Co możemy im zaferować, w jaki sposób wzbudzić ich zainteresowanie? Przedwojenny eksport Polski był dla przemysłowych państw zachodnich atrakcyjny w podobnej mierze, co eksport kolonialny. Ponad 72 proc. eksportu stanowiły surowce lub półsurowce, 22 proc. artykuły rolniczo-spożywcze, a tylko 6 proc. wyroby gotowe. Prawdą, że na owe towary, sprzedawane za granicę po cenach wielokrotnie niższych, niż na rynku wewnętrznym

tykułów eksportowych i utrzymanie ich na wymaganym przez Zachód poziomie.

Nasza dzisiejsza polityka eksportowa likwiduje oba przedwojenne błędy: zarówno wyniszczający kraj eksport surowców i artykułów rolnych „na niu”, jak i jednostronność eksportu. Dlatego nie tylko nie zwiększamy, ale ograniczamy wywóz tradycyjnych polskich towarów eksportowych, jak węgiel, cukier, masło itp., natomiast przemysł nasz potrafił dostarczyć nowe i wysoce pożądane na rynku światowym wyroby — statki dalekomorskie, tabor kolejowy, samochody, maszyny, narzędzia precyzyjne itp.

Nie tylko możliwości towarowe stawiają nas dziś w pozycji uprzywilejowanej wobec okresu przedwojennego. Wraz z rozszerzeniem doboru towarów, rozszerzył się także zakres naszych stosunków handlowych, przede wszystkim z krajami zamorskimi. Nie można nie docenić faktu, że docieramy dzisiaj do wszystkich kontynentów; że aktualnie posiadamy umowy handlowe z 85 państwami, a więc praktycznie biorąc z każdym państwem na świecie.

Nasze wyjście na rynku światowym jest łatwo sprawdzalne w podstawowej formie ekspansji i reklamy handlu na płaszczyźnie międzynarodowej: w targach zagranicz-

jeszcze lepiej. Powierzchnię wystawową zwiększono dla wystawców zagranicznych o 5 tysięcy m kw. Już dzisiaj udział zgłosiło 28 krajów, wśród nich nowi kontrahenci — Indie, Argentyna, Portugalia, Paragwaj i in.

Równocześnie rok 1955 był rokiem szturm na targi za granicą: — Paryż, Izmir (Turcja), Plovdiv (Bułgaria), Zagrzeb (Jugosławia), Damaszk (Syria), New Delhi (Indie). W tym roku ogromnej skali impreza — Targi Lipskie, gdzie dwa tysiące kupców zagranicznych zawarło z nami transakcje na kwotę 40 milionów dolarów. W następnych miesiącach weźmiemy udział w targach w Casablance, Paryżu, Sztokholmie, Wiedniu, Damaszk, Izmirze, Zagrzebiu, Plovdivie, Londynie i Sao Paulo, a na rok 1958 zgłosiliśmy się na wielką wystawę w Brukseli.

Wreszcie jeszcze jeden przywilej. Socjalistyczny charakter naszej gospodarki pozwolił na centralizowanie handlu zagranicznego. Co za tym idzie, na planowe zawieranie umów; na prowadzenie jednolitej polityki dewizowej, a także na solidne wykonywanie umów, z czego Polska przed wojną raczej nie słynęła.

Jeśli jednak zgodnie z prawdą wliczamy te niewątpliwie, dodatnie przesłanki naszego handlu z krajami kapitalistycznymi, musimy

H Y M N Y

PROLOG

Panie, w głębinach duszy mojej leży sen o Tobie, lecz wnijdź do Ciebie nie mogę — zaryglowane bowiem wszystkie drzwi.

Zewsząd obleżony jestem niby przez wojska liczne i zamknięty jestem w mej samotności odwiecznej. Przeko ręce moje pogruczotane i czoło moje przeto zranione głęboko i wszystkie wizerunki ducha mego przemienione w cień.

Bo żaden z promieni Twoich nie zstąpił w te głębokości, gdzie mży tylko księżycowa poświata duszy mojej. Jakżeś tu zszedł głosie mego Boga? Czy jesteś tylko krzykiem dzikiego ptactwa nad drogami mojej ucieczki?

Dźwigałem Ciebie na wszelkie pagóry nadziei, ale to były tylko moje szczyty.

Schodziłem do wód zwątpienia, ale nie głębsze są niżli głębia własnego mego serca.

Miłość moja jest niby schody wiodące przez duszę, zawsze, zawsze sam jestem i tylko w sobie samym.

Lecz nie ma ciszy w żadnej z komnat moich, najcichsza z nich jest głósna niby wielki krzyk.

Ostatnia z nich jak sień przed wielką salą, największa z nich niby oczekiwanie, a najciemniejsza niby pieśń o brzasku.

RZECZY OSTATECZNE

I

Mówi twój głos:

Dojrzałem nędzę świata w uchodzącej chmurze, cisza wieczoru była jak burza wśród żagli, chmura płynęła pośród mierzchnącego słońca jak wnętrze trwogi.

Dokąd przeto się zwróci, gdy sen potężny ją zmorzy, i gdzież to znajdzie schronienie, gdy sen wytrąci ją poza jej czas?

Darmo więc chłoczące człowieka, a żądzą namiętności wszczępia mu w serce.

Warzy mu przeto tęgi trunek, ażeby stał się niemy.

Miastami wstrząsa ferment jeszcze przez chwilę, ale już wielkie milczenie poczyna ściekać po murach.

Ciemniejsze purpura cierpienia, a szkarłat uciech szary się staje jak zmierzch.

I najpyszniejsze z umysłów błędą jak przypomnienie wszelka woła zmienia się w mgłę, a wszelkie działanie będzie niby sen snów.

Królowie pójdą spać i najwięksi mocarze legną tu niby dzieci.
I wszyscy skłonią głowę na pierś palących pragnień, ich dworne obyczaje zmieniają się w sypki piasek, aż się obudzą jak niegdyś wewnątrz własnych grobów.
Panie, bądź miłościw duszom nieszczęśliwym.

II

I powiada twój głos:

Kimże jesteś, świecie, ociągający się w działaniu? Umieram tysiącrotnie w moich dzieciach. I gdzież twój wyrok, który by mnie ugiał? Dusza moja jest w walce z sądem wieczności.

Spójrz — oto stoję ostatni na wielkim moście rozstania, w ramionach moich unoszę tych wszystkich, których odrzuciło życie.

Już uszy moje więcej nie zamkną się na ich lament i białe jest moje oblicze białością ich lęku.

Stopy moje grzęzną w popiołach i szaty moje nie mogą wyschnąć od wilgotnego oddechu grobów.

Zaprawdę znużony jestem od tylu przerażeń i mój lęk słaby się stał niby drobne dionie dziecka.

Miłość moja już pokonała go, rzuciła go na kolana i wiem, że już nigdy więcej się nie podniesie.

Biada światu, który uwieryzył w śmierć, ponieważ zimny jest i spotka go śmierć, o której dotąd nie śnił!

Spotka śmierć, od której przez wieki całe nie umrze.

Otrzyjcie łzy, płaczący, i rozradujcie się wy także, którzy zapomnieć nie umiecie.

Bo przydam wierności waszej Obietnicy, ponieważ chcę puchar myśli waszych napełnić duchem aż po brzeg!

Bo serce wasze pragnę odwrócić ku wolności, a przeciw wszystkim niewolnikom rozumu.

Żarliwych pragnę uczyć, a tymi, którzy odżegnują się, pogardzę.

Tym, którzy kochają, chcę przyznać słusność w obliczu zatracenia — a posadzę ich na tronie wiekiustego życia.

I wyniosę ich ponad sprawiedliwe i nieś ich będę aż do brzegów miłosierdzia Pańskiego.

III

I woła twój głos:

Wiem, szydzą ze mnie, wiem, płoną ku mnie gniewem, wiem, poszukują mnie omackiem w ciemnościach. Bo słysza dobrze mój głos i odkrywają odbłask mój w głębi swych serc.

Ale oblicza mego ujrzyć nie mogą — głowa moja spoczywa na łonie Boga i nie uniosłem jej od wielu stuleci.

Cienie wszechwiedzącego rozrosły się wokół mnie, a tajemnice jego plenią się na czole moim jak ciemny mech.

Bo ochrzczono mnie w imię Tego, który zwie się „Nierozpoznany“, a wspaniałości Jego noszą miano: „Ukrytych Najgłębiej“.

Odrywa On wiekiustą swoją płynnymi falami, a nieskończoność swoją okrywa niepokodą morską płaczącą u brzegów.

I pozwala lśnić burzy, jakby to był sam władca, miłość swoją ukrywa pod Chleba i Wina postacią.

Spójrz — otom spowinięty zasłoną słabości, otom przykryty ciemnym welonem wzgardy.

Pokryty oto jestem welonem moich godów, przykryty jestem białym welonem mego niebiańskiego dziedzictwa.

Bo wedle tego, co niewidzialne, winięś mnie rozpoznać, a wedle tego, co budzi w tobie trwogę, winna uwierzyć mi dusza twoja.

IV

I powiada twój głos:

Lecz kiedy się wreszcie przybliży wielki koniec wszystkich tajemnic,

Kiedy, to, co ukryte, wyblśnie w przerażającej burzy rozpiętanej miłości,

Kiedy jej rys tajemny zadzwoni w wszechistości i rozproszona tęsknota stworzenia znowu wzniesie okrzyk radości,

Kiedy kule głów rozpękną się w płomieniach i powstanie z popiołów wyzwolone lśnienie,

Kiedy runą gęste łamy materii i otworzą się wszystkie śluz pod naporem niewidzialnego,

Kiedy stulecia jak orły przelecą z szumem i powrócą do wieczności eskadry eonów,

Kiedy pękną składnice słów i ruszą porywające wody niewypowiedzianego,

Kiedy na światło wyjdą najsamotniejsze z dusz i odkryją w sobie to wszystko, o czym nie wiedziały,

Kiedy Objawiony uniesie mi głowę i pod Jego spojrzeniem odpadną zasłony moje w ogień.

A ja spoczywać będę jak obnażone zwierciadło na oczach świata,

I gwiazdy we mnie postrzegą chwałę swoją, a duchy własną we mnie rozpoznają boskość,

I pozna we mnie Bóg miłość swoją,

I żadna z zasłon nie padnie na głowę moją jako przepaska sędziów

Wtedy zapadnie się świat,

A zasłona nazwana zostanie łaską, a łaska nazwana zostanie nieskończonością.

A nieskończoność i zbawienie znaczą Amen.

Maryja w blasku tajemnic

JEZUS Chrystus umiłował Kościół, ofiarował się za Niego i uświęcił Go. Czynił to w ciągu swego życia ziemskiego przez tajemnicę swego człowieczeństwa. Bóg odwiecznie spoglądał z nieskończonym upodobaniem na to człowieczeństwo złączone ze Słowem, które miało sprawić rozkwit świętości i miłości nie tylko w Chrystusie Odkupicielu, ale w każdym z tych, których Odkupiciel ze sobą złączył. „W Chrystusie Bóg nas wybrał przed założeniem świata, abyśmy byli świętymi i niepokalanymi przed oczyma Jego“. (Ef. I. 4).

Sila tajemnic Chrystusowych zawsze trwa i ciągle aktualizuje się w duszach tych, którzy żyją życiem Kościoła. Moc ich nigdy nie przemija, są rzeczywistością wieczną, zawsze działającą i uświęcającą. Tajemnica Wcielenia, Tajemnica Odkupienia, a szczególnie Tajemnica Zielonych Świąt stanowią źródła łaski ożywiającej świat. To zobowiązują nas do traktowania spraw i tajemnic Jezusowych nie jako rzeczy minionych i wygasłych, ale jako rzeczy żywych i obecnych, a nawet wiecznych, z których mamy zbierać owoce cenne i wieczne.

W świat tajemnic Chrystusowych wprowadza nas Matka Boża. Dokonały się one w Jej obecności i za Jej współdziałaniem. Ona w nich wzięła czynny udział. To są fakty z Jej osobistych dziejów i jednocześnie z Jej misji macierzyńskiej. Ona pojęła ich cudowną ekonomię i rozumiała dogłębnie ich wartość niosącą uświęcenie. Jedynie Najświętsza Maryja Panna znała doskonale płodność wszystkich tajemnic, bo była nimi przepelniona.

Bóg Ojciec dokonał w Niej niewymownego działania, przypominającego tajemnicę wewnętrznego życia Trójcy Przenajświętszej. Ona była z Jezusem, zjednoczyła się z Nim, nosiła w sobie Jego pragnienia, święte odbicie Matki-Dziewicy w Swym Synu. Całe życie Matki Bożej było kontemplacją Słowa Wcielonego. Ona patrzyła na wewnętrzne życie duchowe Swego Syna. Ona jedna, „łaski pełna“, to

życie rozumiała. W blaskach tego życia rozkwitała i potęgowała Jej miłość do Syna i do tego świata, które Syn Jej przyszedł dokonać na ziemię.

W ten świat tajemnic Chrystusowych wprowadza nas Matka Boża przez wiarę. Najsubtelniejsze nasze rozumowania intelektualne nie doprowadzą nas do zrozumienia Tajemnicy Wcielenia. Jedynie wiara może otworzyć naszą inteligencję na bogactwa ukryte w Chrystusie. Kształt tej wiary musi się tworzyć i powstawać w blaskach miłości. Tak było u Matki Bożej. Wiara w słowa Anioła, który zwiastował Jej przeciw tajemnicę niesłychaną, wprowadziła Ją w tajemnicę Boga-Człowieka, w tę tajemnicę, którą Bóg trzymał zakrytą od wieków. Ze słów powstańca Bożego Maryja dowiedziała się o zupełnie nowych prawdach, o Trójcy Sw., Wcieleniu, o Ciele mistycznym. Wcielenie dokonało się dlatego, że Maryja niebu uwierzyła. Cała Jej miłość do Syna opierała się na tej niewzruszonej wierze, którą Bóg prowadził po drodze straszliwej próby.

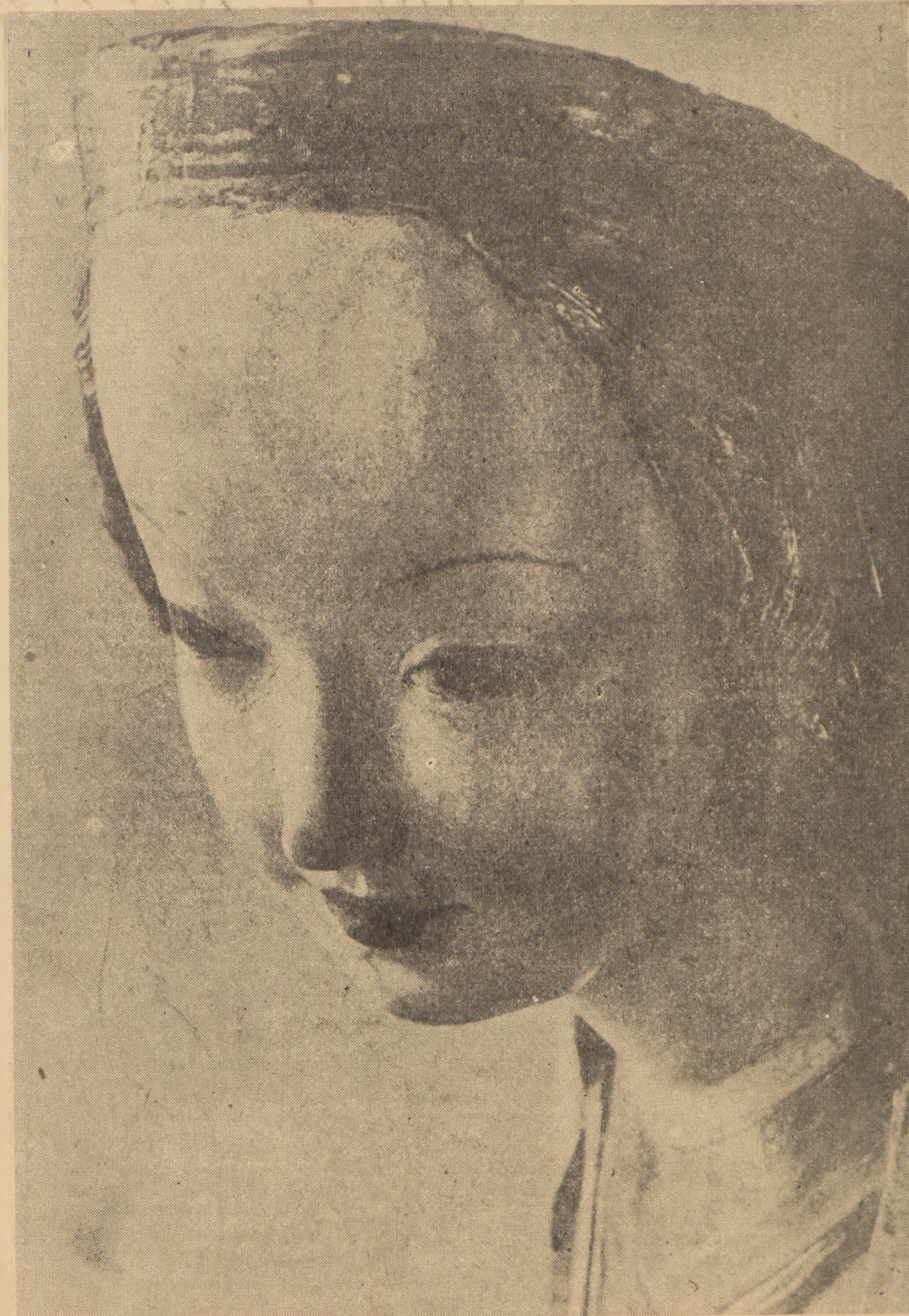
Przed wiekami Bóg wybrał Maryję, aby była powiernikiem i świadkiem „wielkich rzeczy“ nieba i aby je przekazała ludzkości. Bóg Ojciec dał nam Chrystusa, ale dał nam Go przez Maryję. Ona Go nam objawia i uczy nas wpatrywać się w Niego. Życie Maryi było przezwyciężaniem kontemplacją Boga-Człowieka. Nie można myśleć bez jakiegoś wewnętrznego olśnienia o wewnętrznym życiu Matki Bożej patrzącej na Jezusa swą miłością Matki i swą ogromną wiarą. Uczynki Jezusa, Jego słowa, wszystko było dla Maryi jakby nowym objawieniem. Było źródłem aktów doskonałej miłości. W ciągu ziemskiego zjednoczenia Maryi i Jezusa nieustannie wzrastało. Wspólna praca, razem znoszone ubóstwo, przegromne pragnienie zbawienia ludzkości podsycało i przepiękną miłości. Między Matką i Synem dokonywały się niesłychane wymiany. Z Jezusa sływały na Maryję światła łaski i nieustan-

ne objawianie tajemnic Bożych. Maryja w sposób doskonały przemawiała te łaski. Jej uległość wobec każdego natchnienia powodowała pełny rozkwit miłości. W zdumienie wprowadza nas zjednoczenie Maryi i Jezusa na Kalwarii, kiedy ta sama wolna wola karała im przyjmując tak bolesną ofiarę. Byli prawdziwie jednym. To zjednoczenie pozwoliło przeżywać Maryi tajemnicę Chrystusa w sposób głęboki i doskonały.

Do współuczestnictwa w tajemnicach Chrystusowych przygotował Duch Sw. On to sprawił, że Maryja pojęła sens słów Anioła: „Duch Święty stąpi na cie“. Od momentu Jej stworzenia, od chwili Jej Niepokalanego Poczęcia Duch Święty wypełnił Ją życiem Bożym i przygotował Ją na przyjęcie Słowa. Duch Sw. formuje mistyczne Ciało Chrystusa. Czynniki to przez Maryję, Święci są wspólnym dziełem Maryi i Ducha Sw. On daje Jej poznać powołanie każdego z członków mistycznego Ciała Chrystusa, stopień chwały i łaski, których mu potrzeba. Każda łaska jest udzielona stworzonej istocie za pośrednictwem Maryi. To jest znakiem, że Duch Sw. objawia Matce Bożej stan Ciała mistycznego i powierza Jej Jego wzrost. Duch Sw. i Matka Boża jednoczą się w kształtowaniu życia łaski w poszczególnych duszach ludzkich. Wszędzie, gdzie rodzi się łaska, występuje współdziałanie Ducha Świętego i Maryi.

Maryja jest darem Boga dla ludzi, Jezus Chrystus jest darem Maryi. Zaledwie Go poczęła, a już spieszy zanieść Go Elżbiecie i Janowi Chrzcielowi. Ona Go okazuje pasterzom i mędrcom, Ona Go objawia całej ludzkości.

W myśli Bożej Jezus i Maryja są nierozłączni. Nie można być podobnym do Jezusa, nie będąc jednocześnie podobnym do Maryi. Ten sam przedwieczny akt, który Jezusa przeznacza, aby był naszym Zbawcą, przeznacza Maryję, aby była z Nim najściślej złączona w całej Tajemnicy Odkupienia.



Madonna z Krużlowej

JESZCZE O KONIECZNOŚCI ŚWIADOMEGO WYBORU

PAMIĘTAM, jak stary szpakowi mężczyzna odwrócił swoją twarz w stronę siedzącego naprzeciw młodzieńca i zapytał go bardzo cicho chociaż każde słowo docierało do siedzących w przedziale; no, to w co ty wierzysz? Za oknami wagonu przesuwał się jakiś strasznie szary i smutny krajobraz. Wtedy młodzieńiec powiedział: w nic...

W kilka tygodni po tamtej rozmowie na redakcyjne biurko dotarły jakoś w tym samym czasie dwie przesyłki. List lubelskiego studenta zawierający artykuł, czy felieton o problemie wychowania i tolerancji oraz numer prowincjonalnego pisma literackiego. Obie przesyłki zawierały materiał dotyczący tej samej bardzo trudnej i bardzo gorzkiej sprawy. Obie zmusiły mnie do zanotowania własnych obserwacji.

II

MYSŁE, że sprawa Pawła jest sprawą typową. Nie odbiega od często spotykanej „przeciętności”. Paweł nie jest niestety jednym z nielicznych. Dla swego pokolenia Paweł jest egzemplifikacją zjawiska dosyć powszechnego.

Po raz pierwszy zetknąłem się z Pawłem dawno. Przygotowywałem się do egzaminu maturalnego w dużym mieście nad Wartą. Miasto słygnęło przed wojną z największego skupiska drobniomieszczańskich przedsiębiorstw i było miejscem wielkiego kultu religijnego. Środowisko, z którego wyszedł Paweł było średniowiecznym, tzw. liberalnej inteligencji. Wraz z końcem wojny liberalne poglądy schowało do rodzinnego skarba, bo rzeczywistość okazała się daleka od rodzimych tradycji. W każdym razie Paweł był człowiekiem bardzo inteligentnym. Inteligencja łączyła z dużym talentem do nauk ścisłych. W tym samym czasie opowiadał w domu, że „w podobnej sytuacji trzeba mieć jakiś konkretny zawód, taki, żeby się nie angażować zbyt wiele a mieć zapewnione warunki lepszej egzystencji”. I to trzeba dodać, że w czasach, kiedy przygotowywałem się do matury, na terenie najbliższej przed wojną budowę wielkiego futernego kombinatu. Rewolucja łamała drobniomieszczańskie otoczenie.

Nie wierzę, żeby w najbardziej zbiurokratyzowanym systemie nauczania nie zdarzały się jakieś wyjątkowe sytuacje. Taką wyjątkową sytuację wytworzyła grupa Pawła. Zaczęło się od wieczornych dyskusyjnych, na których prowadzono akademickie spory o hiszpański teatr złotego wieku i ekonomiczne problemy socjalizmu. Była to taka mała odwilż, od której nasi ciepeli wychowawcy dostawali zwrótu głowy. Rodził się jakiś ferment. Chcieliśmy wyjść naprzeciw wielkim wydarzeniom nie tylko poprzez wydatki w słogach podrepczników. Szukaliśmy własnej drogi.

Właśnie podczas jednego z takich dyskusyjnych wieczorów padło pytanie: co to jest światopogląd? Kiedy światopogląd staje się potrzebny budzącemu w życiu człowiekowi? który światopogląd jest pełniejszy, który może bardziej człowiekowi pomóc?...

Tak się dosyć dla nas szczęśliwie, a dla obecnego profesora polonistyki nieszczerliwie złożyło, że zmusiliśmy go do odpowiedzi na postawione pytanie. Sami byliśmy dosyć niezgrabni, nie starczyło nam argumentów do dyskusji. A właśnie chodziło o argumenty.

Profesor wolał milczeć. Dopiero po długich naleganiach odpowiedział, że po pierwsze, nie należy mówić „światopogląd” tylko „pogląd na świat” i że on reprezentuje pogląd na świat religijny, spirytualistyczny. Natomiast nie będzie odpowiadał na te częste pytania, które dotyczą bardzo konkretnie pojętej użyteczności poglądu na świat. Dlatego że — poza jego własną filozoficzną postawą — istnieje materialistyczny system nauczania. Ponieważ on jest nauczycielem w świeckiej szkole i w tej chwili reprezentuje ciało pedagogiczne, nie jest upoważniony do udzielania tego rodzaju odpowiedzi. Chce być po prostu uczniem.

Wiedzieliśmy, że profesor nie powinien milczeć, jeżeli jest przekonany o swojej prawdzie, że powinien o niej mówić...

Nazajutrz rozszła się wiadomość, że profesor polonistyki nie będzie uczył w naszej szkole. Zarzucano mu religianctwo. Dowiedzieliśmy się i tego, że sprawcą całej historii był Paweł.

Zresztą sam o tym powiedział: jeżeli chcecie się modlić, to zorganizujcie sobie pielgrzymkę, albo wstępnie do zakonu. Kto jest chętny?...

Oczywiście nie znalazł się żaden „chętny kandydat na pobyt w klasztorze”. Za pasem była przecież matura! Woleliśmy milczeć. Nawet siwutki nauczyciel historii, który wykładał od kilkudziesięciu lat w naszym liceum, przychylił na swoje lekcje naburmuszony, nieufny, wyjmował ostentacyjnie duży, świeżo wydany podręcznik i czytał stronę po stronie rozdział książki. Grupa Pawła rozleciała się. Nie chcieliśmy mówić. Wielu z nas posiadało wtedy jakieś dwa oblicza. Kłamałmy sobie później, kiedy swoje uczucia religijne nazywaliśmy przesadami. I te kłamstwa podobały się panom, którzy siedzieli za zielonym stołem komisji maturalnej.

Rozeszliśmy się z Pawłem bardzo obojętnie. Nie lubili go nawet najbardziej zatwardziali „ateiści” i nie lubili go „kandydaci na pobyt w klasztorze”. Pierwsi mieli do niego żal za starego polonistę, drudzy za starego polonistę i za to także, że nauczył ich milczenia.

Mineło kilka lat od tamtych wieczorów przedmaturalnych i spotkałem się z Pawłem po raz drugi. W kościele.

Okazało się, że Paweł nie tylko przyszedł oglądać zabytki architektoniczne. Przyszedł, jak to sam określił „odklepać modlitwę” i postawił organowe koncertu.

Zapytałem się, czy pamięta starego polonistę. Paweł odpowiedział, że oczywiście. Pamięta doskonale. Przykro mu, że skrzywdził starszaka, ale to było dosyć dawno.

— Czy ty myślisz — powiedział — że ja to zrobiłem z przekonania? Trzeba było kłamać. A zresztą przynam ci się, że dużo ciekawszemu i dużo pożyteczniejszemu są studia techniczne, niż filozoficzne dociekania na temat pierwszej przyczyny. Tutaj się robi rzeczy konkretne. Tamta dyskusja mogły tylko demobilizować. Dla mnie jest zupełnie obojętne, czy istnieje coś, co ty nazywasz Bgciem, czy nie istnieje.

Wszystko mi jedno i tak jest wygodniej...

Paweł uśmiechał się w tym miejscu z politowaniem na próbę moich sprzeciwów i zaczął opowiadać o planach na przyszłość. Ma zamiar zostać inżynierem w wielkim hutniczym kombinacie, który wyrósł w mieście nad Wartą.

Przedstawiłem tę powiastkę dlatego, że jest prawdziwa. Paweł nigdy nie był i chyba nie będzie materialistą filozoficznym. Tak samo, jak nie jest i chyba nie będzie człowiekiem wierzącym. Dlaczego? Bo tak mu jest wygodniej. Płynie się bez przeszkód. Paweł nie będzie wartościowym człowiekiem, bo już dawno przestał myśleć. Wystarczyło mu kłamstwo.

Owszem — to jest oskarżenie. Oskarżenie zbiurokratyzowanego programu czy metody nauczania, z którą spotykaliśmy się w latach swojej gimnazjalnej egzystencji. Jest to wina metody. Tej metody, która kazała na przykład naszym wychowawcom wykladać z przyzwyczajeniem oka zasady materialistycznego światopoglądu, która nie dopuszczała do żadnych poważniejszych dyskusji czy sporów, która przekreślała nasze wątpliwości dogmatycznym zaprzeczeniem tego, w co wierzyliśmy, która nieraz straszyla groźbą złej opinii i zaprzeczaniem kariery uniwersyteckiej. A przecież po to zdawaliśmy maturę, żeby czymś być...

Oczywiście to nie jest metoda nauczania światopoglądu i żaden zdrowo myślący człowiek nie zaleca takiej metody. Co ta metoda daje w konsekwencji?

Zyje podobnych Pawłów wielu. Są to ludzie — manekiny, ludzie zapatrzeni we własny pepok, ludzie, którzy pieni się na „religianctwo” i drżą przed Szdem Ostatnim.

III

MALUTKIE miasteczko na Ziemi Lubuskiej. Z rozmowy wynika, że w miasteczku zdarzają się dosyć częste kradzieże mienia społecznego, że wypija się dużo wódki i że rodzi się wiele dzieci nieślubnych. że te częste wypadki stają się przyczyną wielu ludzkich tragedii. Ale najgorsza jest młodzież.

Przysuchiwałem się opowiadaniom starego kapłana z takim samym uczuciem, z jakim wysłuchiwałem się teraz wielu mniej więcej przesadzonych opinii na temat demoralizacji, zakłamania, bandytyzmu. Nie były to nowe rzeczy. Stary ksiądz nie był wyjątkiem.

Ale doskonale pamiętam, jak z dużą satysfakcją mrucząc czy powiedział w pewnym momencie, że jest to wina wydziału oświaty... który przystąpił do organizowania w mieście świeckiego liceum.

— Tak — mówił człowiek w sutannie — mogę zresztą służyć statystykami. Czarne na białym... Próbowałem opowiadać.

— Przecież dzieci, których rodzice chcą, żeby uczyli się religii, mogą uczęszczać na podobne lekcje organizowane w parafii czy w kościele. Nie wierzę w terror administracyjny, bo jest wiecie takich miejscowości, gdzie system ten zdaje jakiś praktyczny egzamin.

— Nauczanie w szkole, to co innego — powiedział ksiądz — jest obowiązkiem. Dzwonek i zaczyna się lekcja. To jest zupełnie co innego. Byłem następnego dnia na niedzielnym kazaniu dla młodzieży, które wygłaszał stary ksiądz.

Chociaż to jest istotnie duży grzech, kiedy ziewa się podczas kazania w kościele — miałbym chyba trochę racji, gdybym prosił o rozgrzeszenie dla spotykanych na tym kazaniu słuchaczy.

Była spora gromada młodych ludzi. Mówiono im o tym samym, czego dawniej uczyli nas nasi prefektci. O tym, że nasza wiara jest wiarą naszych ojców i dziadków, co jest niby dla przeciętnie rozgarniętego człowieka faktem dosyć oczywistym, że tylko poprzez wypełnianie przykazań można się dostać do nieba i że tylko niebo może dać człowiekowi szczęście wiekiste — co jest rzeczą również dosyć oczywistą, zwłaszcza jeżeli zna się jako tako katechizm.

I co robili młodzi osiemnasto-dziewiętnastoletni ludzie? Skłonny jestem przypuszczać, że nie próbował sobie wyobrazić wspaniałości niebiańskiego ogrodu. Przypomniał mi się mądry biskup James Michael Gabriel: „...Czasem trudno było w obliczu ogromnej obojętności ludzkiej czuć, że to, co mówi się z kazalnicy, służy jakimkolwiek celowi...”

A więc i tutaj młody człowiek nie znalazł odpowiedzi na najbardziej zawile pytanie. Odstraszy go brak jakiegokolwiek odkrywczości.

W bibliotece tego samego starego księdza znalazłem egzemplarz książki Johna Henry Newmana „Idea of University”. Wynotowałem sobie takie zdanie: „Wiedzie, co wiecie, a czego nie wiecie... Próbujcie ustalić, co znaczą wasze słowa. Kiedy odczytacie zdanie, przedstawcie go sobie przed umysłem jako całość, wchłoniecie zawartą w nim prawdę lub wiadomość, wypowiedzcie ją własnymi słowami i jeżeli jest ważna, przekazicie ją wiernej pamięci. Potem porównajcie jedno pojęcie z drugim, zestawie je z sobą i fakty, a także, jeżeli w jeją całość lub zwrócić uwagę na trudności, z którymi się spotykacie...”

Wyjeżdżając z małego miasteczka na Ziemi Lubuskiej byłem przekonany o niezawinionie może wina starego kapłana, który nie zdolał dotrzeć do ludzkich sumień. I myślałem, że nie wolno nam zapominać o największej trosce, jaką powinna być dobrze poprowadzona dyskusja z młodym człowiekiem. Z tej pozornej oczywistej mądrości rodzi się dopiero dojrzałość do wyboru.

IV

WIEM, że to nie jest problem łatwy. Problem wychowania młodzieży będzie problemem tak długo, dopóki nie będziemy sobie usurpować prawa monopolu do kierowania ludzkimi sumieniami. Człowiek musi sam dorosnąć. Każda niedopowiedziana prawda roznieśie w swoich skutkach, albo rozczarowanie do posiadanej wiedzy, albo kłamstwo.

Żeby taki młody człowiek mógł poznać całą prawdę, potrzebna jest dyskusja. Dyskusja taka potrzebna jest w domu, w szkole. W każdym razie nie opierająca się na „administracyjnych argumentach”. Ludzie wierzący nie będą się obawiać podobnej dyskusji. Będzie ona powodem pogłębiania ich wiedzy religijnej. Tak samo ludzie niewierzący przekonani o prawdziwości poglądów nie potrzebują takich dyskusji unikać.

Istnieją zresztą przesłanki pozwalające przewidzieć podobny rozwój wypadków. Jest to dosyć cie-

kawie zapowiadająca się dyskusja światopoglądowa w prasie. Oczywiście często jeszcze mizerna, anemiczna, pełna frazesów i personalnych uszczypliwości. W mniejszym lub większym stopniu jednak skłaniająca do myślenia.

Na temat wychowania zabierali głos wszyscy bardziej cenieni się publicyści. Taka była moda. Na temat wychowania także napisała dosyć budny artykuł pewna publicystka „Życia Literackiego”. Artykuł mówił o konfliktach światopoglądowych, z którymi spotkać się można w szkole czy prywatnym domu. Bzdura polegała na kilku (delikatnie mówiąc) błędach, które wykazywały dosyć zasadniczą ignorancję publicystki. Ze wspomnianego artykułu wynika m. in., że we wszystkich państwowych szkołach podstawowych odbywają się lekcje religii. Po co wobec tego organizuje się dodatkowe nauczanie w kościele?... Oczywiście trudno sobie wytłumaczyć oburzenie publicystki. W rzeczywistości bowiem pozaszkolne lekcje religii organizowane są dla dzieci uczęszczających do państwowych szkół podstawowych, w których religii się nie wykłada. Publicystka „Życia Literackiego” oburza się ponadto na obłudę rodziców, którzy wysyłają swoje dzieci do szkoły TPD-owskiej (świeckiej) kierują ją jednocześnie na pozaszkolne lekcje religii. Wynika z tego dosyć jasno, że nie wszystkie dzieci posiadają dwie szkoły: państwowe i TPD-owskie. A więc jeżeli mają tylko szkołę TPD-owską, to w myśl przepisów administracyjnych istnieje obowiązek posyłania dziecka do tejże szkoły TPD-owskiej...

Właściwie artykuł wspomnianej publicystki był artykułem nieporównalnym i nie warto do niego wracać. Chodzi tylko o to, żeby zastanawiać się nad podobnymi sprawami poważnie. Tym bardziej, że chodzi nie tylko o ekwilibrystyczne popisy erudycji, ale przede wszystkim o sumienie człowieka. I to zobowiązuję.

NIE napisałem tych kilku słów na uciechę moich ideowych adwersarzy. Powiedziałem, że sprawa jest bolesna. Bolesna dlatego, ponieważ dzieli nas od części ludzi realizujących rewolucję. Ponieważ wreszcie siłą faktu nie może stwarzać okazji do sielankowych sporów. Dyskusja nad prawem wyboru toczy się w trudnych warunkach. Trudnych dla obu stron. Przecistawiamy sobie największe ideały. Mówimy o szczęściu człowieka. Widzimy w człowieku cel.

Bez wątplenia najciekawszym fragmentem tej dyskusji jest zagadnienie społecznej roli światopoglądu spirytualistycznego. Stań nas na udowodnienie, że światopogląd spirytualistyczny może człowiekowi pomóc w jego życiowym rozwoju. W praktyce dziesięć lat rewolucji socjalistycznej w Polsce stanowi już jakiś zasadniczy argument na potwierdzenie tej tezy.

Nie podałem historii Pawła po to, żeby wykazać się pretekstem do rozważań na temat nietolerancji. Dla mnie przykład Pawła i ludzi, którzy Pawłem kierowali jest dużym dzwonkiem alarmowym. I to nie tylko dla szkoły — dla domu także. W interesie rewolucji przecież leży zanik ludzi — manekinów, ludzi, którzy wyznają filozofię kontemplacji własnego pepka, ludzi, którzy

klamią.

NIE przypuszczam żeby istniało jakieś wielkie niebezpieczeństwo, przynajmniej obecnie, nadmierne wykształcenie. Niebezpieczeństwo jest innego rodzaju. Powiem wam, Panowie, na czym polega praktyczny błąd osiatnigo dwudziestolecia: nie na przeladowaniu pamięci ucznia nieprzetworzoną wiedzą, lecz na narzucaniu mu takiej masy, że odrzuca on wszystko. Błąd polega na rozpraszaniu i osłabianiu umysłu przed bezsensownym nadmiar przedmiotów. Na założeniu, że powierzchnowa znajomość tużna gąleży wiedzy, to nie płytkość — czym jest w rzeczywistości — lecz wszechstronność, czym nie jest. Na mniemaniu, że znajomość uczonych nazw rzeczy i ludzi, posiadanie mądrych ducedimów, respekt dla wymownych nauczycieli, członkostwo naukowych organizacji, podziw dla sztuki i okazów muzealnych — że to wszystko nie jest rozpraszaniem umysłu, lecz postępm. Wszystkiego trzeba się teraz uczyć na raz. Nie najpierw jednego, potem drugiego, nie jednego dobrze, lecz wielu źle. Uczenie ma się odbywać bez wysiłku, bez uwagi, bez trudu. Bez zgłębiania, bez posuwania się naprzód, bez końca. Nie ma w nim być nic indywidualnego. I to prawdziwie jest cudem epoki.

2

Chcę tylko tego, żeby nazywać rzeczy po imieniu i nie mieszać ze sobą pojęć, które są w istocie różne. Gruntowna znajomość jednej nauki a powierzchowne obeznano się z wieloma — to nie to samo. Powierzchnowa znajomość stu rzeczy, czy pamięć szczegółów to pogląd ani filozoficzny, ani szeroki. Nauka to nie zabawa ani uzdolnienie. Nie mówicie, że ludzi trzeba uczyć, kiedy w gruncie rzeczy uważacie, że trzeba ich bawić, dawać im rozrywkę, głąskac, wprawiać w dobry nastrój i dobry humor lub powstrzymywać od występnych ekscesów.

3

Wychowanie to wzniesie słowo. Polega ono na przygotowaniu do wiedzy i na udzielaniu wiedzy stosownie do tego przygotowania. Potrzeba nam oczu rozumu, wiedzieć, tak, jak potrzeba nam oczu ciała, by widzieć. Potrzebujemy zarówno przedmiotów, jak i organów rozumu. Nie możemy ich jednak zdobyć bez wysiłku. Nie możemy ich zdobyć śpiąc ani na ślepo. Najlepszy teleskop nie obejdzie się bez oczu. Drukarnia czy sala wykładowa wiele nam pomogą, ale musimy być wierni sobie, musimy być partnerami w tej pracy. Uniwersytet jest wedle przyjętego określenia ALMA MATER znająca swe dzieł indywidualnie, nie odlewnia, ani mennicą, ani kieratem.

4

Poznajemy nie przez bezpośrednie, proste widzenie, nie za pierwszym rzutem oka, ale jakby przez kawałkowanie i składanie, przez proces umysłowy, przez obchodzenie przedmiotu wokół, przez porównywanie, zestawianie, wzajemne korygowanie, ciągle dopasowywanie wielu cząstkowych pojęć, przez zaangażowanie, skoncentrowanie i wspólną akcję wielu władz i funkcji umysłowych. Takie zjednoczenie i zharmonizowanie władz umysłowych, takie poszerzenie i rozwój, taka zawartość jest z konieczności sprawą ćwiczenia. A to ćwiczenie z kolei jest sprawą zasady. To nie samo stosowanie, choćby najprzekładniejsze, prowadzi umysł do prawdy, ani czytanie wielu książek, ani podejmowanie wielu przedmiotów, ani obecność na

DLA uczestników i obserwatorów kolejnego Zjazdu Polskiego Towarzystwa Zootechnicznego, który odbył się w dniach 12 i 13 kwietnia br. w Lublinie, fakt pojęcia krytyki stosowanej w Polsce teorii lysenkizmu w zakresie hodowli był faktem dawno oczekiwanym reakcją na szereg bardzo poważnych błędów, popełnionych w minionym okresie.

Jest zjawiskiem dosyć niepokojącym, że echa twórczej, bardzo żarliwej, ale przede wszystkim bardzo konstruktywnej dyskusji nie zostały dotychczas przeniesione poza obręb dwudniowej konferencji.

Zjazd lubelski obfitował w szereg ostрых, polemicznych spier. Krytyka polskiego lysenkizmu spotkała się z ostrożną repliką dawnych zwolenników tej teorii. W konsekwencji utknęła w teckach stenogramów i w kulaarowych dywagacjach.

Metoda dosyć ryzykownych, bardzo formalnie potrafiących argumentów zwolennicy mocno dzisiaj skompromitowanej teorii nie dopuścili do uchwalenia postawionych na Zjeździe postulatów charakteryzujących najogólniej możliwość poprawy stanu hodowli w Polsce. Opinia publiczna powinna być zainteresowana w praktycznej realizacji tych wszystkich poruszanych przez Zjazd problemów, które wymagają jak najszybszej analizy i jak

najszybszego wprowadzenia w życie.

Dla zrozumienia zarysowujących się na Zjeździe kontrowersji potrzebne jest przypomnienie tycn faktów, które zaciążyły na rozwoju rolnictwa i hodowli w Polsce.

Rok 1948 był krytycznym momentem w rozwoju naszej biologii. Od tej chwili w całej pełni przyjął się sztuczny podział na zwolenników postępowej biologii, której jedynym rzecznikiem miał być Lysenko i jego teorie, a z drugiej strony na tych, którzy do owych teorii odnieśli się z dużym sceptycyzmem. Ci ostatni zostali sprowadzeni na pozycję antynaukowców i formalistów, a co za tym idzie — wrogów. Bez naukowych dowodów uznano za obowiązujące teorie Lepszyńskiej i Bosziana, podawano do wierzenia takie nonsensy i sensacje jak to, że „kukulkę rodzą się z jajek innych ptaków, a zboża same przemieniają się we własne chwasty, jak np. żyto w kostrowe”. Fatalnie zaczął na rozwoju biologii okres kultu jednostki i zatwierdzenie teorii Lysenki, co różnego rodzaju szarlatanizm naukowym dało asumpt do propagowania poglądów nie mających nic wspólnego z prawdziwą nauką i wyrządzających niepowetowane straty sprawie rozwoju rolnictwa i hodowli.

W Polsce teorie Lysenki początkowo przyjmowano z dużymi zastrzeżeniami oczekując ich potwierdzenia naukowego. Z czasem jednak poczęto je szeroko stosować nie zwracając uwagi na brak udokumentowania. Szczególnie w dziedzi-

nie hodowli zwierząt chęć osiągnięcia szybkich efektów przysłoniła (jak to powiedziano na Zjeździe) znaczenie „selekcji w pracy nad doskonaleniem pogłowia zwierząt gospodarskich, zaś kontroli użytkowości nie związane należycie z analizą środowiska wewnętrznego”. Co gorsza, u progę pięciolatki nie chęć ulec zmianie poglądy osób kierujących polskim rolnictwem, a w szczególności hodowcą zwierząt gospodarskich, tak jakby mało było szkód poniesionych w sześciolatek wskutek bałwochwalczego trzymywania się teorii Lysenki. W odejściu od tych teorii profesor Marchlewski widzi na przykład groźbę „nawrotu do założeń tzw. genetyki formalnej i odwrótu od pojęć biologii miczurinowskiej i twórczego darwinizmu”, tak jakby istniał podział na dwie biologię, a nie było jednej prawdy naukowej, dostępnej wszystkim prawdziwym ludziom nauki. Praktyczna realizacja założeń lysenkizmu w Instytucie Zootechnicznym w Krakowie nawet w ujęciu dyrektora tego Instytutu, prof. Marchlewskiego, odbiła się ujemnie na wynikach prac tegoż Instytutu w zakresie tworzenia trzody wielkiej białej i doskonalenia owcy górskiej.

Hodowlane mistyfikacje, których omówienie wymagałoby znacznie więcej miejsca, powstały wskutek zupełnego lekceważenia reguł Mendla czy dawnych Morgana, które według Lysenki uchodziły za formalistyczne, wsteczne i antynaukowe, i opieraniu się na przesłankach genetyki Lysenki. Jak powiedział-

„B a n a n o w a

no na Zjeździe bardzo wyraźnie „nie na przesłankach Miczurina, pod którego zwykły się bezceremonialnie podsydzać z wszystkim bezsensami Lysenko, Miczurina, który jedynie zwraca uwagę na konieczność wnie-sienia do reguł Mendla pewnych poprawek i uzupełnień”.

Podczas Zjazdu padaly opinie, że lysenkizm przedstawia poważne wartości dla praktyki przez uwy-puklenie roli środowiska. Niestety w praktyce w Polsce w okresie wszechwładzy lysenkizmu badania środowiskowe nad zagadnieniem bazy paszowej, pomieszczeń zwierzęcych, mechanizacji gospodarstw hodowlanych i higieny zwierząt nie były w ogóle przewidziane przez Komitet Nauk Rolniczych PAN. Już na początku planu sześciolatki wyłoniło się zagadnienie bazy paszowej. Padaly na Zjeździe Zootechniczny przed Kongresem Nauki Polskiej głosy ostrzegawcze, że nie można planować powiększenia ilości zwierząt bez przygotowania bazy paszowej. Wówczas skwitowano te obawy optymistycznym frazesem, że „nowoczesna miczurinowska nauka jest tak potężna, iż jeśli uczeni stwierdzą, że naszym krowom potrzeba bananów, to znajdą się środki, by je w odpowiedniej ilości wyprodukować”. W ten sposób rzetelną troskę opędono efektywnym banałem, a następną teją bananowej polityki nie daly na siebie długo czekać. Bydło cierpiało głód, nawet słony, i według opinii fachow-

ców traciło w skali ogólnej co złmy 15% swej wagi żywej, czyli na sztukę 500 kg — 75 kg. Tymczasem wciąż jeszcze uważa się, że sprawa ta nie wymaga badań i jest tylko skutkiem administracyjnego niedołęstwa urzędników ministerstw rolnych.

Podobnie ma się sprawa z zagadnieniem budownictwa wiejskiego, które również nie jest objęte planem badań Komitetu Nauk Rolniczych PAN w najbliższej pięcioletce. Nie ma również mowy o mechanizacji gospodarstw hodowlanych, która stanowi kluczowy program hodowli w związku z jej przedchodzeniem na skalę hodowli wielkostatadnej. Nie ma w problematyce PAN zagadnienia higieny zwierząt, którego waga jest powszechnie uznawana. Oderwano nawet dział Higieny Zwierząt od Państwowego Instytutu Weterynaryjnego i próbowano udowodnić, że zoohigiena nie istnieje. Tak wyglądają badania środowiskowe Komitetu Nauk Rolniczych PAN. Wysiłek Instytutu Zootechniczny miał na celu podniesienie prestiżu teorii upadłych.

Według opinii niektórych dyskusantów, wysłki Instytutu nad wyprodukowaniem nowych, wydajnych zwierząt są bezcelowe, gdyż zwierzęta te nie znajdują odpowiednich warunków terenowych. Jak powiedział prof. C. Wroclawskiej Szkoły Rolniczej, „jedynym wyjściem jest podniesienie warunków środowiskowych na terenie gospodarstw całego kraju, a wtedy doświadcz-

nia instytutowe będą mogły być pożyteczne. W tej chwili potrzebne są przede wszystkim teoretyczne i praktyczne badania nad bazą paszową na terenie całego kraju, badania nad budownictwem wiejskim, nad mechanizacją gospodarstw hodowlanych i nad higieną zwierząt, która w dużej mierze umuje całkowicie większość tych zagadnień jako ekologia zwierząt gospodarskich. Wyniki tych badań mogą być od razu zastosowane w terenie”.

Dla wyciągnięcia wniosków potrzebne jest może obszerniejsze rozważenie tych spraw.

Wojna i jej konsekwencje zaostrzyły znacznie złą sytuację hodowli w Polsce. Trudności, z jakimi borykamy się dzisiaj, zarysowały się się już od dłuższego czasu. Od szeregu lat bowiem podnoszenie poziomu hodowli odbywało się jednostronnie przez stałe uszlachetnianie pogłowia przy jednoczesnym zaniedbaniu środowiska hodowlanego.

Zwierzęta szlachetniejsze odznaczają się tą korzystną cechą, że w lepszych warunkach środowiskowych wykazują wyższą produkcję niż zwierzęta prymitywne, nie umiejące tych warunków wyżytkać. Wskutek tego w dobrych warunkach zwierzęta prymitywne są mniej opłacalne. Często jednak zdarza się, że w złych warunkach utrzymania i żywienia zwierzęta prymitywniejsze wykazują się większą produktywnością niż zwierzęta uszlachetnione, posiadające większe wymaga-

MYSŁI O WYCHOWANIU

JOHN HENRY NEWMAN

wielu doświadczeniach, ani chodzenie na wiele wykładów. Można to wszystko zrobić, a jednak pozostać w przedświatku wiedzy. Człowiek może sobie nie zdawać sprawy z tego, co mówią jego usta. Może nie widzieć okiem umysłu tego, co przed nim stoi. Może nie pojmować rzeczy tak, jak się one mają, lub przynajmniej może nie mieć zupełnie zdolności rozróżnienia pomiędzy prawdą a fałszem, przesiewania ziarn prawdy z masy, uszerzeganie rzeczy wedle ich prawdziwej wartości i — że tak powiem — utworzenia idei. Ta zdolność jest wynikiem naukowego ukształtowania umysłu. Jest to nabyta zdolność sądu, zdolność jasnego widzenia, bystrości, mądrości, filozoficznego zasięgu umysłu, panowania rozumu nad sobą i spokoju — cechy, które nie pochodzą wyłącznie z nabycia. Oko ciała, organ postrzegania przedmiotów materialnych, jest dane przez naturę. Oko umysłu, którego przedmiotem jest prawda, jest dziełem nawyku i dyscypliny.

Ów proces ćwiczenia — przez który umysł zamiast urabiać się czy poświęcać dla jakiegoś szczegółowego lub przypadkowego celu, jakiegoś specjalnego zawodu, zajęcia, studium czy nauki, ćwiczy się sam dla siebie, dla postrzegania właściwego sobie przedmiotu i dla swej własnej najwyższej kultury — zowie się wychowaniem liberalnym.

To tylko oznacza prawdziwe poszerzenie umysłu, co się przyczynia do zdolności ogarnięcia na raz wielu rzeczy jako jednej całości, ich indywidualnego odniesienia do przysługującego im miejsca w całości systemu, rozumienia ich poszczególnych wartości i określenia ich wzajemnego stosunku. W ten sposób ta forma wiedzy całościowej, o której poprzednio mówiłem, zjawia się w indywidualnym umyśle i stanowi o jego doskonałości. Objęty tym prawdziwym oświeceniem umysł nie patrzy nigdy na żadną część rozległego przedmiotu wiedzy bez świadomości, że to tylko część, bez skojarzeń wynikających z tej świadomości. To sprawia, że każda rzecz prowadzi jak do każdej innej rzeczy.

System akademicki bez osobistego wpływu uczących na uczniów jest jak zima arktyczna: stwarza lodem ścieły, skamieniały, zastępy uniwersytet i nie więcej. (Historical Sketches)

Aby dobrze uczyć, nauczyciel musi wiedzieć więcej, niż ma formalnie przekazać uczniowi. Toteż musi on być ponad swym przedmiotem i wiedzieć, a wiedzieć dokładnie i filozoficznie to, czego w rzeczywistości nie mówi (H. S.).

Zaden wniosek nie jest wiarogodny, jeśli nie został wypróbowany: zarówno przez wroga, jak i przez przyjaciela. Żadne tradycje nie mają do nas prawa, jeśli cofają się przed krytyką i nie śmia spojrzeć rywalowi w oczy.

Umysł płytki i niezrównoważony wyrządza innym niemal tyle

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

Mieć choćby cząstkę... oświecającego rozumu i prawdziwej filozofii, to najważniejszy stan, do jakiego natura może zmierzać na drodze intelektu. On to stawia umysł ponad wpływ przypadku i konieczności, ponad niepokój, niepewność, nieśmiałość i przesąd, co jest udziałem wielu. Ludzie, których umysł opowiadał jakiś jeden przedmiot, żywią przesadę poglądy, co do jego ważności, zajmują się nim gorączkowo, czynią go miarą rzeczy, zupełnie dlań obcych, a jeśli ich przypadkiem zawiedzie, są zaskoczeni i zniechęcają się. Pozostają ciele w stanie trwogi lub niesienia. Ci zaś, którzy nie mają żadnego przedmiotu czy zasady, której by się trzymali, gubią się na każdym kroku. Są wytrąceni z równowagi i nie wiedzą, co myśleć lub mówić w każdej nowej sytuacji; nie mają żadnego zdania o osobach, zdarzeniach czy faktach z braku wewnętrznych danych. Ale umysł, który został doprowadzony do doskonałości swych wiadomości, który wie, a wiedząc myśli, który nauczył się zaczynać gestą masę faktów i zdarzeń głąbiłą siłą rozumienia, taki umysł nie może być stronniczy, nie może być wyjątkowy, nie może być poręczony, nie może być w kłopotach, natomiast może być tylko cierpliwy, skupiony, majestatycznie spokojny, ponieważ dostępuje koniec w każdym początku, początek w każdym końcu, prawo w każdej przerwie, granicę w każ-

dej zwłoce. Ponieważ zawsze wie, gdzie się znajduje i którego prowadzi jego ścieżka od jednego punktu do drugiego.

Jak zdrowie powinno wyprzedzać pracę ciała, i jak człowiek zdrowy potrafi dokonać rzeczy, których kto inny nie potrafi, i jak własnościami tego zdrowia są siła, energia, ruchliwość, pełne wdzięku zachowanie i działanie, sprawność fizyczna i wytrzymałość na trudy, tak samo ogólna kultura umysłu jest najlepszą pomocą w studiach zawodowych i naukowych, a ludzie wykształceni potrafili robić rzeczy, których ludzie ciemni nie potrafili. Człowiek, który nauczył się myśleć i rozumować, porównywać, rozróżniać i analizować, który wykształcił swój smak i wyrobił swój sąd i wystrzył swoje umysłowe widzenie, nie będzie wprawdzie zaraz prawnikiem, czy adwokatem, mówcą, czy mężem stanu, lekarzem czy dobrym gospodarzem, handlowcem czy żołnierzem, inżynierem czy chemikiem, geologiem czy antykwaryuszem, ale znajdzie się w takim stanie umysłu, że potrafi się zająć każdą z tych nauk czy zawodów, które wymienię, lub jakąś inną specjalnością, do której ma zamiłowanie lub szczególne uzdolnienie, z taką łatwością i wdziękiem, wszechstronnością i skutecznością, która dla innego byzatem... kultura umysłu jest stanowczo pożyteczna.

Jeśli już się muszę wyznaczyć nauczaniu uniwersyteckiemu jakiś

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

10

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

11

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

12

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

13

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

14

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

15

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

szkody, co umysł zatwardziały w błędzie. (Discussions and Arguments)

prawdę w ich rozwijaniu, wymowę w ich wyrażaniu i siłę w ich przeprowadzaniu. Uczy go ono widzieć rzeczy takimi, jakimi są, zmierzać wprost do istoty rzeczy, rozplątywać powikłania myślowe, odkrywać sofistykę i odrzucać błędy. Przygotowuje go do godnego zajmowania każdego stanowiska i do łatwego opanowania każdego przedmiotu. Pokazuje mu, jak przystosować się do innych, jak postawić się w ich stan umysłu, jak przywieść ich do swego, jak wpłynąć na nich, jak się z nimi. Człowiek taki czuje się dobrze w każdym towarzystwie. Ma wspólny grunt z każdą klasą ludzi. Wie, kiedy mówić, a kiedy milczeć. Potrafi rozmawiać, ale i potrafi słuchać. Umie pytać stosownie i wyciągać naukę w porę, kiedy sam nie ma nic do dania. Jest zawsze gołym, a przecież nigdy na zawadzie. Jest przyjemnym towarzyszem i przyjacielem, na którym można polegać. Wie, kiedy zachować powagę, a kiedy żartować, i ma nieomylny takt, który pozwala mu żartować z wdziękiem, a zachowywać powagę z siłą. Ma spokój umysłu; żyjąc w świecie, żyje w sobie i potrafi znaleźć swoje szczęście wewnątrz, kiedy nie może wyjść na zewnątrz. Ma dar, co służy mu w życiu społecznym i podtrzymuje go w samotności, bez którego powodzenie jest niemal czymś prostackim, a z którym zawód i niepowodzenie ma jakiś wdźwięk. Sztuka zmierzająca do uczynienia człowieka tym wszystkim jest w przedmiocie, do którego dąży, równie użyteczna, co sztuka bogactwa czy sztuka zdrowia, aczkolwiek jest ona mniej dostępna dla metody, mniej dotykająca, mniej pełna i mniej pełna w swych skutkach.

Wiedzieć naprawdę to, o czym mówicie, że wiecie. Wiedzieć, co wiecie, a czego nie wiecie. Wpierw pojmijcie dobrze jedno, zanim przejście do drugiego. Próbuje ustalić, co znaczy wasze słowa. Kiedy odczytaście zdanie, przedstawie go sobie przed umysłem jako całość, wchłoncie zawartą w nim prawdę lub wiadomość, wyrażcie ją własnymi słowami — jeśli ważna — przekazać ją wiernej pamięci. Potem porównajcie jedno pojęcie z drugim, zróbcie je w jedną całość lub zróbcie uwagę na trudności, które w tym napotykalicie. Oto droga postępu. Oto droga doświadczenia do jakichś wyników. Nie należy porywać wiedzy, lecz — zgodnie z nierz używaną przenośnią — przeżywać ją i przetrawiać.

Wiedzieć naprawdę to, o czym mówicie, że wiecie. Wiedzieć, co wiecie, a czego nie wiecie. Wpierw pojmijcie dobrze jedno, zanim przejście do drugiego. Próbuje ustalić, co znaczy wasze słowa. Kiedy odczytaście zdanie, przedstawie go sobie przed umysłem jako całość, wchłoncie zawartą w nim prawdę lub wiadomość, wyrażcie ją własnymi słowami — jeśli ważna — przekazać ją wiernej pamięci. Potem porównajcie jedno pojęcie z drugim, zróbcie je w jedną całość lub zróbcie uwagę na trudności, które w tym napotykalicie. Oto droga postępu. Oto droga doświadczenia do jakichś wyników. Nie należy porywać wiedzy, lecz — zgodnie z nierz używaną przenośnią — przeżywać ją i przetrawiać.

16

Wiedzieć naprawdę to, o czym mówicie, że wiecie. Wiedzieć, co wiecie, a czego nie wiecie. Wpierw pojmijcie dobrze jedno, zanim przejście do drugiego. Próbuje ustalić, co znaczy wasze słowa. Kiedy odczytaście zdanie, przedstawie go sobie przed umysłem jako całość, wchłoncie zawartą w nim prawdę lub wiadomość, wyrażcie ją własnymi słowami — jeśli ważna — przekazać ją wiernej pamięci. Potem porównajcie jedno pojęcie z drugim, zróbcie je w jedną całość lub zróbcie uwagę na trudności, które w tym napotykalicie. Oto droga postępu. Oto droga doświadczenia do jakichś wyników. Nie należy porywać wiedzy, lecz — zgodnie z nierz używaną przenośnią — przeżywać ją i przetrawiać.

Wiedzieć naprawdę to, o czym mówicie, że wiecie. Wiedzieć, co wiecie, a czego nie wiecie. Wpierw pojmijcie dobrze jedno, zanim przejście do drugiego. Próbuje ustalić, co znaczy wasze słowa. Kiedy odczytaście zdanie, przedstawie go sobie przed umysłem jako całość, wchłoncie zawartą w nim prawdę lub wiadomość, wyrażcie ją własnymi słowami — jeśli ważna — przekazać ją wiernej pamięci. Potem porównajcie jedno pojęcie z drugim, zróbcie je w jedną całość lub zróbcie uwagę na trudności, które w tym napotykalicie. Oto droga postępu. Oto droga doświadczenia do jakichś wyników. Nie należy porywać wiedzy, lecz — zgodnie z nierz używaną przenośnią — przeżywać ją i przetrawiać.

17

Wiedzieć naprawdę to, o czym mówicie, że wiecie. Wiedzieć, co wiecie, a czego nie wiecie. Wpierw pojmijcie dobrze jedno, zanim przejście do drugiego. Próbuje ustalić, co znaczy wasze słowa. Kiedy odczytaście zdanie, przedstawie go sobie przed umysłem jako całość, wchłoncie zawartą w nim prawdę lub wiadomość, wyrażcie ją własnymi słowami — jeśli ważna — przekazać ją wiernej pamięci. Potem porównajcie jedno pojęcie z drugim, zróbcie je w jedną całość lub zróbcie uwagę na trudności, które w tym napotykalicie. Oto droga postępu. Oto droga doświadczenia do jakichś wyników. Nie należy porywać wiedzy, lecz — zgodnie z nierz używaną przenośnią — przeżywać ją i przetrawiać.

18

Wiedzieć naprawdę to, o czym mówicie, że wiecie. Wiedzieć, co wiecie, a czego nie wiecie. Wpierw pojmijcie dobrze jedno, zanim przejście do drugiego. Próbuje ustalić, co znaczy wasze słowa. Kiedy odczytaście zdanie, przedstawie go sobie przed umysłem jako całość, wchłoncie zawartą w nim prawdę lub wiadomość, wyrażcie ją własnymi słowami — jeśli ważna — przekazać ją wiernej pamięci. Potem porównajcie jedno pojęcie z drugim, zróbcie je w jedną całość lub zróbcie uwagę na trudności, które w tym napotykalicie. Oto droga postępu. Oto droga doświadczenia do jakichś wyników. Nie należy porywać wiedzy, lecz — zgodnie z nierz używaną przenośnią — przeżywać ją i przetrawiać.

Wiedzieć naprawdę to, o czym mówicie, że wiecie. Wiedzieć, co wiecie, a czego nie wiecie. Wpierw pojmijcie dobrze jedno, zanim przejście do drugiego. Próbuje ustalić, co znaczy wasze słowa. Kiedy odczytaście zdanie, przedstawie go sobie przed umysłem jako całość, wchłoncie zawartą w nim prawdę lub wiadomość, wyrażcie ją własnymi słowami — jeśli ważna — przekazać ją wiernej pamięci. Potem porównajcie jedno pojęcie z drugim, zróbcie je w jedną całość lub zróbcie uwagę na trudności, które w tym napotykalicie. Oto droga postępu. Oto droga doświadczenia do jakichś wyników. Nie należy porywać wiedzy, lecz — zgodnie z nierz używaną przenośnią — przeżywać ją i przetrawiać.

łum. STANISŁAW PACUŁA

wieczne i nieskończone — do wskazań sumienia i nauk Kościoła.

19

Chcę ludzi świeckich, nie aroganckich, nie pieszczonych w mowie, nie swarliwych, lecz ludzi, którzy znają swoją religię, którzy wnikają się w nią, którzy znają swoje stanowisko w danej chwili, którzy wiedzą co twierdzą, a czego nie, którzy znają swoje credo tak dobrze, że potrafia je wytłumaczyć, którzy znają na tyle historii, że potrafia ją obronić. Chcę ludzi świeckich — rozumnych i światłych. (Parochial and Plain Sermons).

Im mniej człowiek wie, tym bardziej się pyszni swoją znajomością rzeczy. A im naród bardziej barbarzyński, tym bardziej imponujące i stanowcze są jego pretensje. (H. S.)

20

Jest wielu młodych ludzi, niewątpliwie mających zamiłowanie do czytania, u których jednak jest to tylko wynikiem umysłowego niepokoju i ciekawości. Umysły takie nie potrafia zatrzymać uwagi na jednym przedmiocie choćby przez dwie sekundy. Ten sam impuls, który popycha ich w ogóle do czytania, popycha ich do czytania ciągle dalej i do niezatrzymywania się nad jakąś jedną myślą. Przyjemne podniecenie, wywołane czytaniem tego, co nowe, stanowi ich zasadę motoryczną a wyobrażenie, że coś robią, i idąca z nią w parze dziecinna próżność są ich nagrodą. Tacy młodzi ludzie uczą się często, że lubią poezję, lubią historię czy biografie. Lubią wykłady z niektórych nauk przyrodniczych i może mają istotnie prawdziwe zamiłowanie do historii naturalnej czy innych pokrewnych nauk — o tyle więc można patrzeć na nich z zadowoleniem. Ale z drugiej strony mówią, że nie lubią logiki, nie lubią algebry, nie mają zamiłowania do matematyki. A więc to znaczy, że nie lubią zastosowania, nie lubią skupienia uwagi, wzdrgają się przed wysiłkiem i trudem myślenia, przed procesem prawdziwej intelektualnej gimnastyki. W konsekwencji, kiedy dorosną, może się zdarzyć, że będą przyjemni w rozmowie, będą mieli dużo wiadomości w tej czy innej dziedzinie wiedzy, będą — jak to się mówi — ocytani. Ale nie będą mieli żadnej konsekwencji, żadnej stałości ani wytrwałości. Nie będą umieli wygłosić doborze przemówienia, napisać dobrego listu, ani pokonać w dyskusji zrecznego przeciwnika, chyba że czasem wrodzony dowcip da im po temu niespodziewaną sposobność, na co zwykle liczyć nie można. Nie potrafia ani przytoczyć argumentu, ani postawić kwestii, ani wyrobić sobie jasnego poglądu na całość jakiejś sprawy, ani udzielić rozsądnej i właściwej rady w trudności, ani w ogóle zrobić żadnej z tych rzeczy, które dają pewność i zdobywają wpływ, które podnoszą człowieka w życiu czyniąc go pożytecznym dla jego religii i jego kraju.

21

Cywilizacja jest to ten stan, ku któremu wskazuje i zmierza natura człowieka. Polega ona na systematycznym używaniu, ulepszeniu i łączeniu tych zdolności, które są dlań charakterystyczne. Patrzcie zaś na jej idee, przedstawia ona doskonałość i szczęście naszego śmiertelnego stanu. Jest to rozwój sztuki z natury, samoopanowania z namiętności, pewności z mniemaniami i wiary z rozumu. (H. S.)

22

Rzeczy wielkie dokonuje się przez oddanie jednej idei. Toteż jest klasa geniuszy, którzy nigdy nie byłoby tym, czym są, gdyby potrafili pojąć drugą. (H. S.)

23

Rzeczy wielkie dokonuje się przez oddanie jednej idei. Toteż jest klasa geniuszy, którzy nigdy nie byłoby tym, czym są, gdyby potrafili pojąć drugą. (H. S.)

Rzeczy wielkie dokonuje się przez oddanie jednej idei. Toteż jest klasa geniuszy, którzy nigdy nie byłoby tym, czym są, gdyby potrafili pojąć drugą. (H. S.)

polityka

nia. Może to dać błędne wskazówki przy doborze selekcyjnym dla naszej hodowli, co grozi obniżeniem wartości pogłowia w następnych pokoleniach. Jednym słowem, zachoździ tu obawa o mimowolną selekcję w kierunku wytrzymałości na warunki głodowe. Zmrozi to powrotem do prymitywizmu, cofnięciem się wstecz, utratą wytworzonych u zwierząt walorów produkcyjnych.

Uobóstwo naszej bazy paszowej stwarza dla polskiej hodowli tragiczną sytuację. W jednym z artykułów na ten temat („Postępy Wiedzy Rolniczej”, kwiecień 1954 r.) spotykamy dane liczbowe, z których wynika, że było wskutek braku paszy traci w ciągu zimy 17% swojej wagi żywej, co przemożono przez ilość bydła powoduje corocznie stratę mięsa w wysokości 200 milionów kg, czyli około 8 kg w przeliczeniu na każdego mieszkańca. Na przykład krowa wagi 500 kg traci w ciągu zimy 85 kg, czyli akurat tyle, ile przybrała lepiej żywnie krowy w przeprowadzanych niedawno doświadczeniach prof. Małarskiego. Obliczenie dodatkowej ilości paszy potrzebnej na przywrócenie bydła do dawnej kondycji wyraża się zawrotną liczbą 1 miliarda 200 milionów jednostek karmowych. To nieproduktywne zużycie paszy, jeżeli się weźmie pod uwagę, że jedna jednostka karmowa wystarcza na produkcję trzech litrów mleka, pociąga za sobą stratę 3 miliardów 600 milionów w litrów mleka!

Ten stan rzeczy dla fachowców nie jest żadną niespodzianką. Wielekrotnie już w latach powojennych na zjazdach i sesjach zootechnicznych odzywały się głosy ostrzegawcze, aby w planowaniu rozwoju hodowli uwzględnić najpierw warunki środowiskowe, a szczególnie odpowiedni poziom bazy paszowej, gdyż inaczej grozi hodowli wielkie niebezpieczeństwo.

Sytuacja jest poważna dlatego, że trudności w hodowli spowodowały w rolnictwie niebezpieczny stan, w którym skutek pogłębia powodująco go przyczynę. Zbyt małe pogłowia zwierząt nie może dostarczyć odpowiedniej ilości nawozu dla podniesienia żyzności gleby, wyjątkowo nie przez zaniedbania wojenne, a to z kolei powoduje małą wydajność z hektara i uobóstwo bazy paszowej, co znowu w konsekwencji hamuje wzrost stanu pogłowia itd.

Na tle zarysowujących się problemów dla każdego chyba jest jasne, że podniesienia hodowli nie osiągnie się przez dalsze uszlachetnianie ras, lecz przez polepszenie warunków, w jakich znajduje się nasze pogłowia bydła. Obecne warunki kształtują się tak niekorzystnie, że nie pozwalają uzyskać potencjalnych możliwości produkcyjnych w znacznym stopniu już uszlachetnionych zwierząt. Dalsza praca nad uszlachetnieniem po-

głowia byłaby celowa dopiero po osiągnięciu pewnego niezbędnego poziomu warunków środowiskowych. Obecnie jednak efekty jej byłyby zupełnie nikłe i dalały się stwierdzić dopiero za kilka lat, gdy dorosnie nowe pokolenie zwierząt.

Tymczasem poprawa warunków bytowych może dać skok w produkcji w ciągu jednego roku. Świadczy o tym wyraźne doświadczenia prof. Małarskiego. Gdybyśmy zdołali tak poprawić warunki środowiskowe, żeby 5 milionów krow, które mamy w kraju, dawały średnio po 10 litrów mleka dziennie (a na to, jak wiemy, stać je na pewno) mieliśmyby dziennie 50 milionów litrów mleka, co stanowi 2 litry na każdego mieszkańca.

O warunkach bytowych zwierzęcia stanowi nie tylko baza paszowa. Wchodzi tu w grę również problem budownictwa inwentarskiego, sprawa pielęgnacji i obsługi w związku z wejściem hodowli w okres wielkostadności, co należy rozumieć jako przejście hodowli ze skali chałupniczej na skalę przemysłową, reprezentowaną przez gospodarstwa uposażone. Niezmierne ważnym zagadnieniem jest również mechanizacja gospodarstw hodowlanych. Chodzi tu o technikę obsługi

zwierząt w dużych fermach hodowlanych, gdzie wszystkie czynności jak żywienie, wywożenie nawozu, pojenie, czyszczenie, dojenie muszą przebiegać sprawnie i rytmicznie. Znana jest wszystkim hodowcom zasada, że punktualność i sprawność obsługi ma duży wpływ na sprawność fizjologiczną organizmu zwierzęcia. Oto przykład: („Medycyna Weterynaryjna” kwiecień 1956) krowa potrzebuje wg norm 90 l wody, co stanowi 9 wiader po 10 litrów. Jeżeli nawet w oborze jest kran, nabranie do wiadra dziewięć razy po dziesięć litrów i pojenie jednej krowy zabiera sporo czasu. Gdy jednak tych krow jest 60, czy 100 na wykonaniu tylko tej czynności upływałoby chyba cały dzień roboczy jednego robotnika. A przecież jest jeszcze żywienie, czyszczenie, dojenie, usuwanie nawozu itp. Cóż więc robi obsługa? Wykonuje tylko czynności najkonieczniejsze i z reguły nieopajają zwierząt i na ogół ich nie czysci. Jeżeli jednak wprowadzimy samoczynny poidła, które pozwalają zwierzętom na dowolne pobieranie wody, to mleczność krow podnosi się przeciętnie o jeden litr na dobę. Wyniosłoby to przy stanie naszego pogłowia około 1,5 miliarda litrów mleka rocznie.

Z powyższych uwag wynika jasno, że problemy środowiskowe hodowli zwierząt powinny być dzisiaj dla wyjątkowo ważnymi problemami wędziami samoczynny poidła, które pozwalają zwierzętom na dowolne pobieranie wody, to mleczność krow podnosi się przeciętnie o jeden litr na dobę. Wyniosłoby to przy stanie naszego pogłowia około 1,5 miliarda litrów mleka rocznie.

Z powyższych uwag wynika jasno, że problemy środowiskowe hodowli zwierząt powinny być dzisiaj dla wyjątkowo ważnymi problemami wędziami samoczynny poidła, które pozwalają zwierzętom na dowolne pobieranie wody, to mleczność krow podnosi się przeciętnie o jeden litr na dobę. Wyniosłoby to przy stanie naszego pogłowia około 1,5 miliarda litrów mleka rocznie.

współpracować i wprowadzać w życie słuszne postulaty.

Niepokojąca całe społeczeństwo i sprowadzająca tyle kłopotów hodowlanych baza paszowa da się przecieć obliczyć. Należy corocznie stwierdzić stan naszych zapasów zimowych i ustalić, ile zwierząt na tych zasobach zdołamy żywić przez zimę, czy możemy myśleć o wzmroście, czy przeciwnie, wystarczy załedwić, aby w dobrej kondycji przetrzymać status quo. Nie wolno pozwolić na coroczną utratę 200 milionów kilogramów wagi przez głodujące zwierzęta. W latach krytycznych, kiedy wskutek nieurodzaju zasoby paszy nie mogą wystarczyć na przetrzymanie zwierząt, lepiej jest wybrakować i wybić sztuki chore na gruźlicę (co np. na dużą skalę z dobrym skutkiem dla zdrowotności pogłowia przeprowadzili niektórzy kraje na Zachodzie), niż doprowadzić do zdarzających się nieraz u nas padnięć z głodu. W obliczaniu planowanej bazy paszowej należy uwzględnić możliwość poprawy sytuacji drogą odpowiedniej gospodarki obornikiem, drogą uprawy roślin wysokodajnych, jak lucerna i kukurydza oraz drogą wzrostu produkcji nawozów sztucznych. Dopiero w oparciu o te wszystkie elementy można planować wzrost pogłowia, aby nie stwarzać paradoksalnej sytuacji, gdy trzyma się dwie niedźmie żywno krowy dające po 1.500 litrów mleka, w sytuacji kiedy słuszniejsze byłoby utrzymanie jednej sztuki mogącej dać 3.000 litrów.

Przed budownictwem wiejskim stoi do radykalnego rozwiązania

problem bydneków „typowo złych”. Cała praktyka hodowlana ocenia bardzo krytycznie tzw. budynki typowe. Mimo to stwarza się nowe koncepcje typowe, a nieulepsza starych, wskutek czego powstaje szereg nowych błędów, które potem muszą przez całe lata znosić cierpliwie zwierzęta. Ulepszenie budynków inwentarskich wymaga na szeroką skalę zakrojonych badań dotychczas już istniejących pomieszczeń. Nie przebadane są również pod względem bioklimatycznym pomieszczenia służące do zimowego wychowu.

Mechanizacja gospodarstw hodowlanych nie ma prawie żadnego naukowego zaplecza. Produkcja przemysłowa idzie tu w kierunku zmechanizowania eksploatacji mleka (dojarki), a za mało uwzględnia mechanizację zaopatrzania i pielęgnację zwierząt (karmienie, pojenie, czyszczenie). Przy dużym nacisku na mechanizację upraw polowych zapomina się o fakcie, że jednak praca hodowlana stanowi 70% pracy w rolnictwie.

Całość zagadnień dotyczących kształtowania środowiska hodowlanego zgodnie z wymaganiami organizmu zwierzęcego, który nie powinien być eksploatowany a pielęgnowany i rozumnie stwarzany — zoohigiena. Problemy zoohigieny powinny więc stanowić względe za-

(Dokończenie na str. 7)

PYSKI I TWARZE

(Dokończenie ze str. 8)

Kową noc, zatoczył szerokie koło w świecie przestępczym. Udowodniono im cztery włamanie na ogólną sumę około czterystu tysięcy złotych.

W chwili, gdy materiał ten idzie do druku, przygotowany jest akt oskarżenia przeciw złodziejom materiałów budowlanych z różnych warszawskich budów, a głównie z budowy płyty Dworca Śródmieście. Kradziono przeważnie cement. Do chwili obecnej udowodniono kradzież 38 tys. kilogramów cementu. Kradzione materiały sprzedawano prywatnym przedsiębiorcom, głównie zaś właścicielom domków na terenach podwarszawskich. Kradzież organizowały osoby pracujące niegdys na budowach państwowych, obecnie nigdzie, mające kontakty z magazynierami. Kradziono z reguły podczas przewożenia z magazynów na budowę. W sprzedaży złodzieje posługiwali się fałszowanymi rachunkami Centrali Handlowej Materiałów Budowlanych, które fabrykował współpracownik bandy po 300 złotych od sztuki. Ogółem w aferze zamieszanych jest około dwudziestu osób. Straty sięgają grubych tysięcy.

Grubych tysięcy sięgają zarobki. Był przysy ulicy Marszałkowskiej szewc. Buty robił przeważnie z kradzionej skóry i nielegalnego garbunku, gumę brał z przemytu. Budował luksusową willę w jednej z podwarszawskich miejscowości. Materiały budowlane pochodziły głównie z kradzieży. Urząd Skarbowy wymierzył mu domiar w wysokości 300 tys. złotych. (1)

O jakich wygranych marzyło wy, grający zaciekle w sportowym totalizatorze lub loterii państwowej. Tu gra się pewnie, tu gra się inaczej, tu nie skrupulatnie stawianie iksów w rubrykach olimpijskiego kuponu, nie byle kopnięcie piłki oznacza zwycięstwo. Tu wygrywają inne umiejętności — sprawnie rozpruta żaluzja, dobrze zorganizowany transport, celna podrobiony rachunek. I wygrane są grubsze. O brudne ręce i wyroki sądowe.

Skąd wyrosła klasa ludzi łamiących żaluzje i prawo? Co obok wspólnoty interesów łączy wypadki, zdawało się, dosyć odległe charakterem przestępstwa. Co one przypominają?

Czy tylko sensację rozkrzykiwaną na rogach ulic dwadzieścia lat temu przez obdartych gazeciarzy? Czy strasznych mieszczan podnoszących o zmiroku futrzane kombinezony i lekliwie oglądających się za siebie w obawie nowoodkrytego wampira?

Dziś nie ma obdartych gazeciarzy, niewielu zostało mieszczan, wyrzuciliśmy chorobliwą sensację — pozostał problem. Problem mentalności i patologii. Na aktach tych spraw można spokojnie postawić datę lat dwudziestych. Historie chłopków, którym sprzedawano kolumnę Zygmunta, spokojnych urzędników z prowincji, którzy zwabieni perspektywami i niewybrednych rozrywek w stolicy, zostawiali w wesołych dziewcząt płaszcz, marynarki, buty i... czyste sumienia. Wielkich hochsztaplerów od wielkich afer. Morderstwa za smaczniki — pierwszy, zadróżki. Przestępczy świat różnicowany pseudonimem i specjalizacją.

Pamiętacie „Kulasa”, złodziei budowlanych, sprytnych obrabiaczy festiwalowych gości. Kłaniają się w pas najlepsze przedwojenne tradycje. Nie zmieniły się nawet metody — pistolet, wylamana żaluzja, sfalszowany rachunek, trup w kanapie. Niechby, pijacy i złodzieje, cała mafia — paserzy i kochanki.

I tuż obok gęsta siatka gospodarczego podziemia. Złodzieje i spekulanci żerujący na skarbie Państwa i kieszeniach obywateli. Z jakiej skóry robił buty szewc, który mógł sobie budować willę? Z jakich cegieł i jakiego cementu ją budował? Gospodarze podziemie. Prywatne sklepy, gdzie dostać można materiały, które niegdys były w Galuxie. Te same materiały, tylko droższe o osiemset czy tysiąc złotych na kuponie. Oglądałem niedawno na Chmielnej francuskie skarpetki za 181 zł. Były kiedyś w Galuxie po 45. W okresie mrozów w sklepach państwowych brak było nauszników i rękawiczek. Można je było za to dostać u „prywatniarzy” i na bazarze. Tylko ceny inne. Popieramy często sami spekulacje. Popieramy kokosowe interesy prywatnych handlarzy. Pozwalamy na wyciąganie sobie z kieszeni ciężko zarobionych złotych.

Tak, pozostał problem — problem mentalności i patologii. Padają głosy: „dziki Zachód”, „co się u nas dzieje”. Szepczą po kątach o morderstwach i rabunkach, które u wielokrotnia ich własna wyobraźnia. Mówią o „zlu immanentnym”. Trzeba pamiętać, że czasem pozostali ci sami ludzie, czasem pozostała mentalność, która starzeje się wolniej. Przestępcy bogaci o doświadczenia wojny i okupacji. Pozostali wieloletnie tradycje mawersanckich afer, spekulacji, pasterstwa. Przestępczość to nie alfabetyzm. Przestępczości nie odda się na kursach wieczorowych. Walczymy z kapitalistycznym garbem, który jeszcze w wielu wypadkach społeczeństwo dźwiga na plecach. Walczymy z chętką życia la-

twego i życia ponad stan, z przestępczymi tradycjami całych lat. Podciągamy świadomość, która pozostała w tyle. Nielatwo wymiała się smiecie epok.

SKLEP MHD nr... mniejsza o numer, obiecałem nie używać nazwisk. Kontrola. Kierownik usiłuje wsunąć inspektorowi w rękę tuzina złotych (te trzy stułotowe banknoty znajdują się na rozprawie wśród dowodów rzeczowych). Kontrola wykazuje manko około 20 tys. złotych. Zeznania świadków: kierownik często pił wódkę, palił sklepowe papierosy, brał pieniądze z kasy. W opinii personalnej znajduje niedzarne, lakoniczne zdanie: „lubi zdradzać żonę”. Opinia nie obciążająca bardzo oskarżonego. Zeznaje ekspedientka: kierownik zmuszał ją do stosunków z sobą po pracy w sklepie. Raz dał jej sto złotych, raz dwieście. Taka była cena ludzkiej godności. Prostytutka? Nie była nią. Była kobietą pracującą. Czy obawa represji ze strony szefa, czy braki miesiecznego budżetu?

Sprawy o wielu twarzach: deprawacja, drobne nadużycia. Przestępstwo rozmiennione na cukierki wynoszone w kieszeniach z zakładów 22 Lipca. Podskórny problem drobnej kradzieży. Czy wreszcie sprawy, które choć nie są zawsze trafiają do sądu, stanowią niemały problem. Dokradanie i manka. O tych wielkich nie mówię. Manko 20-tygodniowe wymaga prokuratora i zastanowienia się. Chodzi po prostu o dokradanie do stosunkowo niskiej pensji. Chodzi o małe, czasem bezmyślne kradzieże, poza którymi

kryją się nieraz wielkie troski. Na rozprawie sądowej widziałem kobietę oskarżoną o kradzież dziecięcego wózka wartości 450 złotych. Pracownica fizyczna mająca samoloty na Okęciu. Troje małych dzieci, czwarte w drodze. Wózek sprzedawała za 40 złotych. Padły pytania, których połowy oskarżona nie rozumiała. Nie padło jedno, które powinno paść: ile oskarżona zarabia?

Ludzie dorabiają. Dorabiają w sposób względnie uczciwy lub wcale nieuczciwy. W prawie każdej restauracji czy kawiarni istnieje napis „szatnia obowiązkowa, bezpłatna”, i w żadnej z nich szatniarz nie odrzuci 50 groszy, które mu się nie należą z urzędu. Nie odrzuci napiewku kelner, choćby mu się wmaślało, że napiewek upokarza człowieka. I to nie tylko sprawa pedagogiki społecznej.

Jaki jest ciężar moralny przestępstwa człowieka, który zarabiając 500 złotych „dorabia” w sposób nieuczciwy 200 lub 300 zł miesięcznie? Trzeba otwarcie powiedzieć, że takich spraw jest wiele. Lekarstwem na nie może być tylko szeroko podjęta pomoc. Kiedy zbierałem materiał, nie było jeszcze mowy o podwyżce płac. Byłem trochę bezradny. Pisać o takiej przestępczości, tłumaczyć zagadnienia, które składają się na nasze trudności...

Myślałem o możliwościach dodatkowej pracy, choćby o popieraniu nawet w miastach chałupnictwie, o właściwej gospodarce czasem. Ale to jakoś nie wystarczało.

Jedno jest pewne. Podwyżka płac to nie tylko kwe-

stła takiej czy innej ilości cukru i mięsa więcej zjadanych przez ludzi pracy. To również cios wymierzony w przestępczość — w tę najtrudniejszą.

Spraw jest setki. I każda jest inna, każda ma inny profil. Za każdą stoi człowiek o innej twarzy. Nie ma dla nich wspólnego mianownika. Przestępczość ma swoją dialektykę. Nie ludźmy się, że likwidacja przestępczości, całkowita jej likwidacja, to tylko złapanie i przymknięcie ludzi, którzy popadli w konflikt z prawem. Walka toczy się na wielkich, krzyżujących się frontach, walka nowego ze starym, głęboko sięgające sprawy wycho-

„BANANOWA POLITYKA”

(Dokończenie ze str. 5)

gadnienia hodowli. Tą problematyką powinien się przede wszystkim zająć Komitet Nauk Rolniczych PAN. Z oddanych do dyspozycji Komitetu Nauk Rolniczych PAN pieniądze ogromna większość powinna być przeznaczona na tzw. „problemy węzłowe”. Jeżeli te podstawowe zagadnienia nie zostaną uznane za węzłowe, to trzeba liczyć — wobec braku podstaw materialnych — na rozszerzenie się dalszego niedorozwoju.

Fakt, że najważniejsze problemy hodowli nie zostały obecnie włączone do „węzłowych problemów” Komitetu Nauk Rolniczych PAN, został ostro skrytykowany na lubelskim Zjeździe przez kierownika katedry zoologii z Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu prof. M. Cenę. Zaproponował on utworzenie międzyinstytutowego i międzyministerialnego komitetu, który poświęciłby się opracowaniu zagadnień teoretycznych i praktycznemu opracowaniu corocznej bazy w skali krajowej. Prof. Cena uważał za konieczne powołanie instytutów potrzebnych dla rozwiązywania najbardziej palących problemów naszej hodowli, jak Instytutu Zoologii, którego jedyną placówką w Bydgoszczy została przyłączona do innego instytutu, oraz Instytutu Budownictwa Wiejskiego, którego projekt został również wysunięty na ostatnim zjeździe budownictwa w Warszawie. Sformułowano również wniosek, aby instytuty rolnicze, a szczególnie te, które zajmują się produkcją zwierzęcą, związały ściślej z wyższymi szkołami rolniczymi. Przyczyniłoby się to do lepszego wykorzystania naukowców uczelni rolniczych, mających małe możliwości doświadczalne, podczas gdy instytuty odczuwają coraz dotkliwiej brak koncepcyjnych, samodzielnych pracowników naukowych. Trzeba stwierdzić, że podobne głosy o nieproporcjonalnym wyposażeniu budżetowym instytutów na niekorzyść wyższych uczelni padły również w czasie dyskusji sejmowej nad budżetem państwowym.

Proponowano, aby zarówno Ministerstwo PGR, jak i Ministerstwo Rolnictwa udzielały pomocy materialnej wyższym szkołom rolniczym, a szczególnie wydziałom zootechnicznym, które przygotowują dla nich swoich wychowanków. Zaproponowano zwolnienie wspólnej konferencji Ministerstwa PGR, Ministerstwa Rolnictwa, Centralnego Zarządu Szkół Rolniczych i przedstawicieli wszystkich wydziałów WSR celem nawiązania ściślejszej współpracy, której wzorem powinna być pomoc przemysłowi udzielana politechnikom.

Prof. Cena żądał również umocnienia organizacyjnego wydziałów zootechnicznych przez lepsze wyposażenie i powołanie nowych katedr, szybkiego rozwiązania palących zagadnień. Szkoda, że zapomniał o tej sprawie plenum lubelskiego Zjazdu. Tak czy inaczej dyskusja lubelska powinna toczyć się nadal. Wymaga tego najbardziej oczywisty interes społeczny.

Istnieje natomiast problem, które z bezdyskusyjnych, najbardziej oczywistych postulatów wysuniętych przez Zjazd lubelski powinny być już dzisiaj wprowadzone w życie. Niebezpieczeństwo przeniesienia tej dyskusji w nic nie dające polemiki grozi po prostu utratą i tak już poprzednio marnowanego czasu.

Zygmunt Lichniak

O sprawach nie do pominięcia

(dokończenie ze str. 1)

to, by z tej schedy wypracowanego przez siebie w ciężkim trudzie przywileju pierwszeństwa skorzystali w sposób jak najmniej opieszali. Muszą pamiętać o tym, że byli na świeczniku, muszą pamiętać o tym tym bardziej, jeśli na świeczniku pozostali.

Niewłaściwe byłoby w naszej dyskusji puszczanie między wierszami służy anonimowych. I sądzę, a przynajmniej chciałbym wierzyc, że nie będzie zrozumiane w negatywnym sensie jako zwrot *ad hominem* to, że przykładowo wymienię dwa nazwiska ludzi mających niewątpliwie zasługi w organizowaniu naszego życia literackiego i intelektualnego, ale jednocześnie ludzi, którzy z racji swych odpowiedzialnych stanowisk wiele zawiniли w nieprawidłowym kierowaniu i inspirowaniu poszczególnych procesów. Chociaż w wielu punktach z nimi się nie zgadzałem i nie zgadzam, obydwu bardzo cenię i szanuję za ich żarliwy, głęboko ideowy stosunek do sprawy, którą i ja na swój sposób kocham. Dlatego ważne jest dla mnie, a uważam że ważne i dla naprawienia błędów, i dla uniknięcia podobnych błędów w przyszłości, aby ludzie ci zajęli wyraźne stanowisko wobec własnych pomyłek, przewinień i wypaczeń.

Myślę w tej chwili o Jerzym Putramencie i Stefanie Żółkiewskim. Oczywiście nie łączę tych dwóch nazwisk jakimś związkiem dokładniejszej analogii, zdając sobie sprawę z różnic sprawowanych przez nich funkcji, jak i z różnic samych

indywidualności. Widzę jednak to, co wspólne i niepokojące było w wielu autorytatywnych osądach czy decyzjach tych wybitnych działaczy: byli autorytatywni autorytetem Partii. Czas, byśmy mogli dzięki ich samooceńcom stwierdzić, o ile słusznie posługiwali się tym autorytetem, a o ile niesłusznie — choćby nieświadomie — czerpali z jego rezerwy dla umocnienia jednostkowych i subiektywnie tylko uzasadnionych przekonań.

Czy Jerzy Putrament, który — mam nadzieję — nie poczyta mi tego głosu za jakiegoś pośredniego występowanie i we własnej sprawie, o której mógłbym wiele gorzkiego powiedzieć, a o której — słowkiem nie piszę, ma pewność, iż w dyskusjach związkowych zdobywał przewagę nie tylko dzięki sile fizycznej swego głosu, lecz także dzięki mimowolnemu nawet szachowaniu dyskusantów autorytetem Partii czy swoich od niej otrzymanych peimocnictw? Które z elementów swojej aktywności skłonny jest — dla ostrzeżenia na przyszłość — uznać za skutki nadmiernego przejęcia się metodą żelaznej ręki? Stawiam te pytania nie będąc pewny, czy Putrament uderzy pięścią w stół, czy we własną pierś, czy metaforycznie w mównicę, który stawia mu to pytanie. Stawiam to pytanie wierząc w szczerą odpowiedź.

Tak samo chciałbym wiedzieć, dla wzbogacenia i swojej, i naszej wspólnej wiedzy, które z metod po-

lemicznych Stefan Żółkiewski uznaje w swoim bogatym dorobku publicystycznym i naukowym za metody szkodzące w pogłębianiu się humanistycznych treści socjalizmu, pogłębianiu się lojalności intelektualnej wobec adversary? I o jedno proszę: niech mi Stefan Żółkiewski spokojnie i rzeczowo wyjaśni, jak da się udowodnić zdanie, które padło z jego ust w pierwszym dniu obrad XIX Sesji Rady Kultury i Sztuki, a z którym zetknąłem się dopiero poprzez opublikowany w „Przeglądzie Kulturalnym” stenogram. Zdanie to stwierdza, — iż „podział istotny to podział na komunistów i karierowiczów, na ludzi ideowych i cyników”. To jest zdanie nieprawdziwe. To jest zdanie, które wymaga intelektualnego i moralnego sprostowania. Znam niekomunistów, którzy nie z karierowiczostwem nie mają wspólnego, znam wszyscy pięknych ludzi klasy robotniczej czy inteligencji twórczej, którzy nie są komunistami, a stać by się mogli wzorem dla wielu członków Partii, dla wielu komunistów. Tak nie wolno mówić. Niech mi Stefan Żółkiewski pozwoli, że mu zacytuję jego własne słowa z tego samego przemówienia, ba, z tego samego akapitu: „Zjawiska życia społecznego są o wiele bardziej złożone, aniżeli tu twarzysze zdawali się sugerować”.

Z tymi słowami zgadzam się całkowicie.

Zygmunt Lichniak

PATETYCZNE

których drobne kości i male czaszki milczą w ziemi (Równina)

Jest rzeczą oczywistą, że Różewicz posługuje się normalną metaforą, że można również mnożyć przykłady stosowania przez niego tradycyjnych środków wyrazu, że można znaleźć wiersze, gdzie wibruje jeszcze mocny lub słabszy rytm, rytm nawet sylabotoniczny — że są te rzeczy u Różewicza. Ale nie one wyciągają kierunek rozwoju różewiczowskiej poetyki, raczej występują na prawach węgla, jako czasami ładne, ale również i dlatego, że ładne, z punktu widzenia poety niepotrzebne organa szczątkowe. Bo Różewicz na przekór przerażonym, na szczęście lub nieszczęście dla siebie, dąży do maksymalnej oszczędności i prozaizowania. Marzy o poezji opartej niemal całkowicie na języku potocznej relacji, na języku dotąd przez poetów wylęknionym.

Tym językiem można opowiadać o zdarzeniach historycznych bogach bohaterach a można też mówić o planie sześciowiekowym o elektryfikacji wsi, wydobywaniu węgla o troskach i radościach życia powszedniego naszej Ojczyzny. (Wiadza Proletariatu)

III ZAUFIANIE Różewicza do własnej poetyki wynika z jego zaufania do wyjątkowości okresu historycznego, w którym wypadło nam żyć. Po prostu epoka tak nabrzmiała wydarzeniami o randze spraw ostatecznych nie potrzebuje ozdóbek i piedestałów.

Stery włosów spalonych kobiet („Warkocz”), potwór poparzony napalmem („Z uśmiechu uczynili potwora”), z drugiej zaś strony nawiązanie pustyni („Wola”), jasna przyszłość socjalizmu — te rzeczy mówią same za siebie. Węsz li czy się człowiek odarty ze wszystkich mitów i błyskotek, człowiek prosty jak odlew, ustawiony w mocnym świetle wielkiej historii. Nie zawsze i jak najmniej konieczne musi być to bohater oficjalny, bohater z dyplomem. W mocnym świetle historii stara chłopka idzie brzegiem morza, a teściowa w znużeniu cezurze kałesony zięcia. To właśnie historia powołała ją głosem poety:

Choć matka do nas W takim ostrym świetle historii stoją wszyscy bohaterowie poetyckich nowel Różewicza. Wpierw to światło oślepiło. W okresie naporu tematyki wojennej historia przynęcała ludzi — nie mogli jej unieść. Bohaterzy „Czerwonej rękawiczki” nie wytrzymują naporu historii. Wobec apokaliptycznego widma wojny stoją mali i nieszczęśliwi. Taka jest zresztą postawa Różewicza — człowieka rozumieją-

cego konieczność dziejową, lecz nie godzącego się z nimi sercem. Rodzi się charakterystyczny motyw małych miasteczek — nie nowy z pozoru, ale nowy przez swą ocenę. U Różewicza małe miasteczka nie są, jak u Gałczyńskiego lub Tuwima, wymierzającym mrowiskiem mieszczaństwa. Różewiczowskie miasteczka są ostatnimi bastionami spokoju, zagubionymi „gdzieś” i „kiedyś”, które opływa niszcząca rzeka wydarzeń. Ale trzeba się z nimi ująć, trzeba już ich bronić, bo wojna nie oszczędzi małych miasteczek — ostatnich przyczółków cichego życia i cichej poezji. Patos i wzniosłość nie są bowiem synonimami. Patos znaczy szerzej, znaczy więcej o cierpieniu. Człowiek nie wciąż, nie przez całe życie zdolny jest do rzeczy wielkich, szuka odpoczynku, którego nie znajduje, szuka znowu stanu przeciętności, który jest stanem małej jaski. Ale ciąży na nim nieuchronna moira nowej tragedii: prawa historii. I stąd ból.

Od tego dominującego w swych wierszach momentu zmęczenia będzie Różewicz uciekał różnymi drogami — będą to nawet drogi deklarywizmu („Wiersze i obrazy”), a więc drogi artystycznej rezygnacji — będą to drogi groteski i trochę cwanickiego uśmiechu („Uśmiechy”). Dopiero wielki, spokojny i mądry strumień „Równiny” pogodzi Różewicza z jego czasem, uwolni go od niszczącej obsesji wojny, pozwoli mu na Majakowskie,

wstrzemięźliwe i patetyczne „do brze” — „jest dobrze”.

IV

WIELKOŚCI człowieka nie należy pokazywać przez wdzieranie się do jego wnętrza, przez wylawianie nieujawnionych zalet, przez prześwietlanie go promieniami lirycznymi i naświetlanie metafizycznymi. Wielkość człowieka czy podłość człowieka (podłość to też wymiary patetyczne) ujawnia się z jego relacji z faktami, z opisu jego działania. Z relacji faktów rodzi się tragiczność, optymizm i cała skala człowieczeństwa.

I tutaj czas bardziej otwarcie zasygnalizować zasadnicze wątpliwości. Bo teoretycznie jest to już proza. Właśnie prozy zasadniczym kanonem jest owo „ukazywanie człowieka w działaniu” — „określenie człowieka poprzez wydarzenia”. Toteż wiersze Różewicza mają coś z bardzo dobrej, z bardzo skondensowanej nowelistyki. Nie bez kozery złośliwi piszą je w układzie graficznym prozy, twierdząc, że dopiero wówczas staje się dla nich widoczna wielkość talentu Różewicza.

Różewicz bezsprzecznie idzie brzegiem przepaści. Bo to jednak nie tak, jak pisał Szymański: że poezja dzisiaj to tylko trochę inna proza, że potem to się zgłajchasztuje i będzie święty spokój. Stosując racje negatywne da się przynajmniej powiedzieć, że poezja ma prawo bytu o tyle, o ile wypowiada tę warstwę zjawisk, dla uchwycenia której krzepkie paluchy prozy są właśnie za bardzo krzepkie. Różewicz poprzez swą przesadną ascezę, poprzez jednak coraz bardziej wynoknypowaną manierę zaczyna popadać w tę nieznośną dla poezji

krzepkość — w prozajizm. Owszem, stara się potem rzeczą załagodzić dowcipną i wyszukaną maksymą jak w arcytypowym „Udało się”:

Janek ma rok
chodzi w czworakach
pewnego dnia
patrzę
a on
stoi na dwóch nóżkach
„No — myślę z ulgą —
znów się udało ta straszka
naszej starej ludzkości

ale wiersz przestaje być wierszem, staje się coraz częściej u Różewicza „czymś”.

Z drugiej strony tam, gdzie odrzuca się wszelkie rygory pięknej sztuki pisania wierszy, tam też zanika miłość do słowa — ta najbardziej banalna, włokąca się aż od Kochanowskiego, poetycka miłość do słowa. Nie jest to wyłączna cecha Różewicza. Różewicz zdaje się tylko jej patronować — lekceważenie fonicznych wartości wiersza staje się u nas coraz bardziej modne. Wiersze coraz bardziej nadają się jedynie do cichego czytania, próba deklamacji naprowadza nas na nieznośne zestawy zgrzytliwych monosylab, na bolesne spiętrzenia gryzących się spółgłosek.

Właśnie „Srebrny kłosek”, ostatni z dotychczasowych tomików Różewicza, roi się od tego rodzaju dziwotworków. Przeważa nowelistyka pisana w wersecach. Obawiam się, że ostatni kamyczek na brzegu przepaści osypuje się. Chyba te obawy podziela również i... Różewicz

wania społecznego. Wzbudzenie szacunku do wspólnej własności, wypalenie okupacyjnych nawyków, kiedy kradzież była patriotyzmem. Sprawa milionów litrów wóki wypijanej u nas i jej przestępczych skutków. Walka o ciągły wzrost poziomu życia. Nowego społeczeństwa nie ustawia się, jak pionków na szachownicy.

Czeka nas walka. Gdy ją wygramy, gumowe palki pozostaną w muzeum kryminologii jako dowód istniejącego niegdys chuligaństwa. Zabraknie w sądach akt, zza których wychylają się wstrętne gęby lub zmęczone twarze ludzi, którzy zbłądzili.

Kazimierz W. Olszewski

z szczególnie katedr rozrodu oraz katedr budownictwa wiejskiego i rozbudowania katedr zoologii. Zwrócił on także uwagę na konieczność zniesienia nakazów pracy dla absolwentów WSR i zastąpienia ich bodźcami ekonomicznymi w postaci przydzielania przez resorty rolnicze odpowiednio wysokich stypendiów przy zobowiązaniu stypendystów do zajęcia wskazanych im stanowisk.

aby doświadczenia mogły szybciej i skuteczniej przenikać w teren naukowcy wrocławski zaproponował, aby z lepszych gospodarstw PGR i spółdzielni produkcyjnych utworzyć tzw. „gospodarstwa polidowiadczalne”, które byłyby normalnymi gospodarstwami produkcyjnymi, ale przystosowanymi do prowadzenia prac doświadczalnych.

W związku z tym, że tak ważne problemy, jak baza paszowa, budownictwo wiejskie, higiena zwierząt i mechanizacja gospodarstw hodowlanych nie zostały uznane za problemy węzłowe przez Komitet Nauk Rolniczych PAN w najbliższym pięcioleciu. Prof. Cena postawił wniosek o przeprowadzenie radykalnych zmian osobowych we wspomnianej organizacji naukowej.

Wnioski te wskazywały na najważniejsze bolączki naszej hodowli. Wzbudziły silny oddźwięk i żywą reakcję. Wnioskodawca zyskał sobie przychylną i uznaną wśród wielu poważnych hodowców, a zwłaszcza wśród młodych przedstawicieli polskiej zootechniki. Wnioski te były jednak za mało „rewolucyjne”, skoro z inicjatywy prezydium Zjazdu nie zostały w ogóle przez plenum rozpatrzone! Padły tego rodzaju argumenty, że Zjazd nie jest kompetentny do rozpatrywania takich postulatów, że jest zbyt mało czasu, aby je w ciągu dwóch dni przedyskutować, wobec czego dyskusję odroczone „ad calendas graecas”.

Alle życie nie czeka. Domaga się szybkiego rozwiązania palących zagadnień. Szkoda, że zapomniał o tej sprawie plenum lubelskiego Zjazdu. Tak czy inaczej dyskusja lubelska powinna toczyć się nadal. Wymaga tego najbardziej oczywisty interes społeczny.

Istnieje natomiast problem, które z bezdyskusyjnych, najbardziej oczywistych postulatów wysuniętych przez Zjazd lubelski powinny być już dzisiaj wprowadzone w życie. Niebezpieczeństwo przeniesienia tej dyskusji w nic nie dające polemiki grozi po prostu utratą i tak już poprzednio marnowanego czasu.

Sprawozdawa

zamieszczając na wstępie „Srebrnego kłosa” głęboki, męski w swym powściągliwym bólu tren „Bez przesady”:

palenie wierszy
odbywa się w ciszy

pali się papier
tańczy płomień
dym idzie do góry
Kiedy słowa rodziły się
krzyczał
teraz milczy
trawi go ogień
i mieszają się ze sobą popioły.

Palenie wierszy nigdy nie odbywa się bez bólu, ale nigdy bez nadziei na nowe, na niepowtarzalne, na piękne.

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartałna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-80-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wkiesiodrukowe RSW „Prasa” w-wa Marszałkowska 115. Zam. 871 B-7-24757

DZIS I JUTRO

PYSKI I TWARZE

OKROJENI, zdziatkowani, wycierani na coraz trudniej-
sze do utrzymania pozycje,
wciąż jeszcze tkwią, wciąż utrudnia-
ją nam życie. Patrzę na wy-
cięcie z „Expressu” zdjęcie „piąt-
ki z ulicy Wilczej”. Twarze tak-
ie same jak setki innych, ręce, za-
nim chwyciły żelazną rurę, która
zerwała ostatnią strunę w życiu
stroiela fortepianów, wystukiwały
na maszynie literki handlowych li-
stów, trzymały narzędzia pracy,
Ucieczka przed jakim „potopem”
popchnęła ich do zbrodni, wstret-
nej, lepkiej zbrodni, dla której
trudno znaleźć choć słowo uspra-
widliwienia? Ci ludzie istnieli obok
nas, a przecież na peryferiach spo-
łeczeństwa. Ten reportaż pisany jest
po to, żeby ich nie było. Żeby nie
było smutnych kronik notujących
ludzkie błędy i zbrodnie. A to jest
sprawa nie tylko gorzej lub lepiej
zorganizowanej służby śledczej, lecz
także ciągłej i upartej walki na
każdym kroku.

Zadna z postaci tego reportażu
nie jest tworem mojej wyobraźni.
Kaźda ma metrykę urodzenia, imio-
na rodziców, zawód, wykształcenie,
wzrost i grupę krwi. Jak w aktach
oskarżenia zalegających sądownie
archiwa. Kaźda ma nazwisko w moim
notesie, nazwisko wynotowane z
kronik sądowych i milicyjnych.
Wszystkie są prawdziwe. Wszystkie
mają twarze, czasem bardziej pod-
obne do pysków, czasem zmęczo-
ne, osaczone twarze ludzi, którzy
zbiłążili, którzy potrzebują pomo-
cy. Ich rysy zobaczycie w suchym
przedstawieniu faktów. Jeśli zobac-
cie, że pyski, to nie moje pióro je
skreśliło. Wychyła się same zza
okrawionę; głowy spokojnego
przechodnia bitego cegłami, z opa-
rów dymu knajp, gdzie pyski oble-
wają wielkie szwindle, zanim do-
sięgnie ich pięść sprawiedliwości.

Przed każdym z nich wygłoszono
formułę; w imieniu Polskiej Rzeczy-
spolitej Ludowej oskarzam.

Obszerna jest ta galeria. Są w
niej wszelkie gatunki lajdaków i
szul, nieuczciwi kierownicy skle-
pów, są bezmyślni chuligani, lu-
dzie o zachwianym poczuciu rów-
nowagi współzycia społecznego.
Przestępcze produkty wielkiego
miasta szukające łatwego życia i
wiecej chłopcy zagubieni w wirze
nagle zarobionych złotych, czarów
kinematografii i elektryczności na
każdym kroku. Są starzy, doświad-
czeni włamywacze, recydywiści,
którzy tajniki swej przestępczej
wiedzy nabyli grubo przed wojną.
Przycichli na chwilę, jeżdżili na
szaber, kradli cegły ze zburzonych
domów. Robiło im się coraz ciał-
niej. Teraz już na długo będzie im
ciasno. Milicja ma krótką cierpli-
wość i długie ręce.

Mówią na zmianę: autor i Oby-
wateł Fakt.

co oskarżają grubość i gatunek te-
go kija. W najlepszym razie pada
tłumaczenie: byłem pijany, nie pa-
miałem. Nie pamiętają napadu z
cegłami, nie pamiętają bicia na uli-
cach przechodniów.

Zapytacie, czy to coś nowego,
czy mówienie o tych sprawach nie
jest powracaniem do tematów sta-
rych i wysłużonych. Czy wciąż nie
czyta się, nie słyszy o takich i je-
szcze gorszych wypadkach?

Problem jest niemały — jego
miarą jest fakt, że zdecydowano
zmierzyć go pałką. Wędrują za
kretki i do obozów pracy — po kil-
ku miesiącach wracają, by zacząć
od nowa. Zagadnienie nie kończy
się na ich złapaniu. Powiedziałbym,
że się w tym miejscu zaczyna, po-
niważ daje możliwość działania i
kontrola nie nad wyabstrahowa-
nymi chuliganami, ale nad konkretnymi
ludźmi. Jest w sylwetkach, z
którymi się zapoznałem podczas
wędrowek po salach sądowych i
szperaniu w aktach coś, co je
wszystkie łączy. To bezmyślność
przestępstwa, to niski poziom umy-
słowy. Monotonna kronika bicia na
ulicy, restauracyjnych burd, wy-
rzucania konduktora z pociągu.
I niemniej monotonne dwie, trzy,
szczęśliwie klaszki podstawowej. My-
ślę, że tę edukację należy właści-
wie odczytać. Gdzieś przesłuchali

z trudem kilka klas. Cóż to ozna-
cza w praktyce? Często umysłowy
półanalfabetyzm. Oznacza, że poza
ciężko wyrażanym przy wyplacie
nazwiskiem i imieniem (jeśli pra-
cują, a to zdarza się rzadko) lub
wyrazami, które tak często znajdu-
jemy na ścianach publicznych szale-
tów, ci ludzie nie mają prawie
kontaktu ze słowem pisanim i czy-
taniem. Zwróćmy uwagę na ich
wiek. W dużej większości lata szko-
ły podstawowej wypadły w okresie
wojny. Czasem wcześniej poszli do
pracy, nie mieli warunków lub o-
choty do nauki. Cóż z tego, że do-
starczamy im książki i bilety do
teatrów, kin. Jak wiele mogą z te-
go zrozumieć? Ich intelektualnym
ideałem jest zapewne Fanfan. W
jakim stopniu może ich wychować
kino czy teatr, gdzie często gwi-
dzą lub rechoczą. Czy dlatego, że
już tacy są, że już tacy zostaną?
Od ekranu, od sceny dzieli ich
kilka klas... szkoły podstawowej.
Czy pomagają im Domy Kultury,
świetlice? Jaki użytek potrafią z
nich zrobić?

Nie jestem bynajmniej za kon-
cepcją dobrego chuligana, który
nie wie, co czyni. Zdejmuje sobie spr-
wę, że w tysiącach wypadków tyl-
ko represja może działać wycho-
wawczo. Ale myślę też nad ogólnym
poziomem tych ludzi, nad ko-

niecznością przymusowego dokszał-
cania ich, choćby w więzieniu czy
obozie pracy karnej. To chyba w
równym stopniu jak represja zwięk-
szy szansę ich resocjalizacji. Nie
chodzi przecież o ludzi, którzy tyl-
ko dlatego zachowują się spokoj-
nie, że o parę kroków stoi mili-
cjant już teraz z gumową pałką.
Nie po to je wprowadzono. Chodzi
o pełne, głębsze zrozumienie życia
przez wszystkich, o poziom kultury
społecznej. Zależność przestępstwa
od poziomu kultury potwierdzają
dane z Czechosłowacji czy NRD.
Czym, jak nie brakiem kultury
czasem elementarnej jest tysiące
„pysków”. Czy znaczy to, że ak-
kurat my, Polacy, mamy szczegól-
nie burzliwe i gwałtowne tempera-
menty? Temperament nam nie
brak, za to brak nam kultury. I o
tym warto pomyśleć.

2

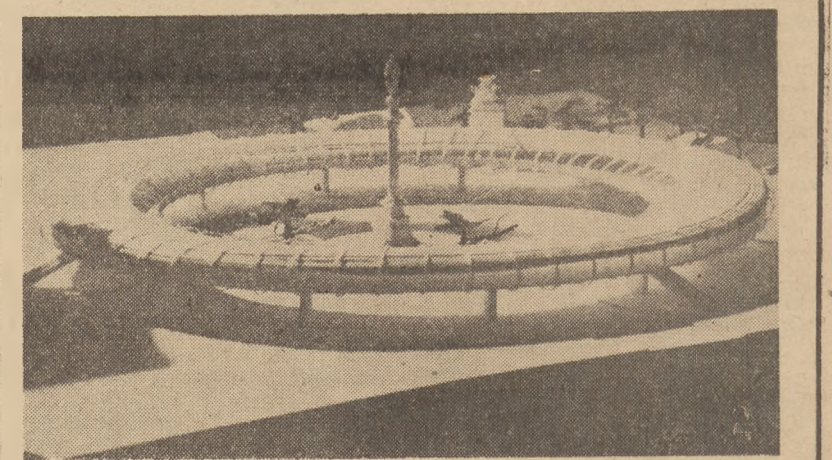
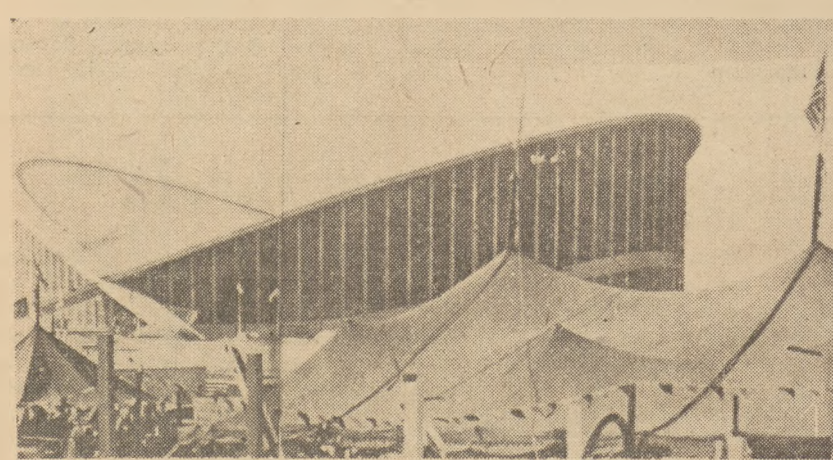
JEST inny kaliber spraw, w któ-
rych Obywateł Fakt nie krąży
po ulicach, łatwo dostępny, widocz-
ny przez wszystkich. Sprawy bar-
dziej ponure, dokonywane w mro-
ku, śledzone przez czujne oczy i
możni ludzi prawa; sprawy roz-
wiązywane po miesiącach upartego
gromadzenia poszlak i dowodów.
Wśród wielu, jakie poznałem, jest

sprytne paczka, która wywabiała
festiwalowych gości za miasto, by
pozbawić ich portfelów i zegarków.
Jest krawiec zamordowany i ukry-
ty w tapczanie — historia pasjonu-
jącego śledztwa, które po roku do-
prowadziło do ujęcia mordercy. Są
inne, może mniej sensacyjne, ale za
to bardziej typowe:

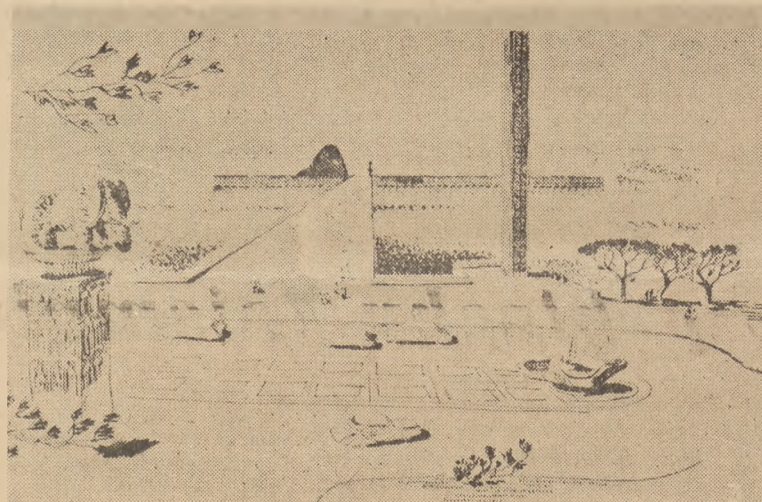
Z terenu Warszawy dochodziły
meldunki o włamaniach. Głównie
do sklepów i spółdzielni branży
skórzanej. W październiku ubieg-
łego roku włamano się do ZSS z o-
buwami. Sprawcy próbowali się
podkopać, gdy to się nie udało,
wylamano żaluzję. Skradziono kil-
kanaście par obuwia. W czasie u-
cieczki dobry bożek złodziej, Her-
mes, opuścił swych podopiecznych.
Milicja idąca ich śladem, znalazła...
jeden but. W kilka dni później do-
niesiono, że sędziwy i dobrze noto-
wany w kronikach milicyjnych
chromy osobnik o małowniczym
przezvisku „Kulas” posiadał do
sprzedania buty. Ponieważ „Kula-
s” nigdy nie hańbił się pracą, a
tym bardziej szewstwem, przepro-
wadzono w jego rezydencji rewizję.
Butów nie było, znaleziono nato-
miast dwóch interesujących przy-
jaciół pana domu, którzy wraz z
nim oddawali się błogiemu zajęciu
opróżniania licznych butelek z na-
lepkami PMS. Przeprowadzono

więc rewizję u komiltonów mi-
strza, która przyniosła wynik w
postaci dziewięciu i pół pary bu-
tów. Opryszek o dziecięcym naza-
wisku Owsianka przyznał się i do-
konał prezentacji dalszej części to-
warzystwa. Ponieważ i poprzednie
włamania dokonywane były owym
geologiczno - slusarskim systemem,
poprowadzono śledztwo głębiej. U
kompanów Owsianki znaleziono bu-
ty z innych włamań i potwierdze-
nie przypuszczenia, że w pracach
tych żywy udział brał syn „Kula-
sa”. Skórę z kradzieży dostarcza-
no staremu paserowi na peryfe-
riach, mieszkającemu tam z ko-
chanką, która posiadając budkę na
bazarze Różyckiego sprzedawała w
niej buty z kradzionej skóry, robo-
ne za fałszywymi rachunkami u o-
kolicznych szewców. Kompanii do-
pełniał inny paser, kuzynek „Kula-
sa”, przeający w biurze projektów.
U niego przechowywano skradzio-
ną skórę, a rewizja odkryła m. in.
wykrój prawej cholewki skradzio-
nej ze spółdzielni „Miarobut” parę
miesiący wstecz. Lewej nie zdążył
skraćć. Udział w bandzie brali rów-
nież kierowcy z „Łączności”, którzy
przewozili skórę z miejsca włamań
do paserskiej melin. But upusz-
czony nieopatrznie w październiku

(Dokończenie na str. 7)



Kuriatki dla Nowickiego



1
Hala wystawowa w Karolinie
(projekt zrealizowany)

2
Projekt konstrukcji stalowo-
aluminowej, Columbus Circle
w Nowym Jorku

3
Projekt miasta we wschod-
nim Pandzabie

ZACZYNA się niewinnie. Spójrz-
cie, jak patrzę na przechodzą-
cą dziewczętą młodzieńcy pod kinem.
Ich wam opowiedzą same kobiety.
Na co narazone są w kawiarni-
kach, restauracjach. Czasem w
tych pierwszorzędnych. Spójrzcie
na tych, którzy na ulicach wrze-
szczą i klną. Waleją się po uli-
cach i między paragrafami kodeksu
karnego. W każdej chwili mogą po-
trafić któryś z nich, tak, jak spo-
kojnego przechodnia. Potencjalni
chuligani. Kropla wódki rzucona na
ich poziom umysłowy, na ich zycio-
we kryteria, wywołuje wybuch. Ja-
ki? Posłuchajcie:

W jesienne ciepłe popołudnie w
parku we Włochach dzieci grają w
piłkę, rodzice siedzą na trawie. Jest
sennie i leniwie. Nagle podnosi się
krzyk. Trzech młodych ludzi zabra-
ło dzieciom piłkę i zaczyna ją ko-
pać między sobą. Interwjujący
ojciec dostaje po twarzy. Interwie-
niująca matka w siódmym miesiącu
ciąży dostaje w zęby. Chuligani
odchodzą. W kilka dni później po-
wracający z pracy ojciec rozpozna-
je na Dworcu Śródmieście jednego
z chuliganów i melduje o tym mi-
licjantowi. Na posterunku niedaw-
ny „sportowiec” wyjęta z kieszeni
żyłką usiłuje podciąć sobie żyły.
Jak później wyjaśni na rozpra-
wie: „Oskarżenie nie jest „lewe”.
Mówi o tym najgorsza opinia, ja-
ką posiada sądowna, kara więzie-
nia i przymusowej pracy w kopal-
ni za podobne wyczyny.

Awansują szybko z reguły w
jednym kierunku. Kilku młodych
ludzi, koleżanki, brzyd, zabawy.
Wśród spraw, jakie przewijają się
przez akta oskarżenia, krąży próba
kupna pistoletu. W kopercie dowo-
dów rzeczowych pomalowany na
czarno korkowiec. W życiu: napad
z cegłami.

Czy warto mnożyć sprawy, pow-
szecznie znane sprawy, które róż-
nią się między sobą ilością wybi-
tych zębów, mniej lub bardziej
wyszukanym przekleństwem, miej-
scem, godziną i twarzami spraw-
ców?

Stoją na rozprawach do niedaw-
na jeszcze krzykliwi, butni. Z re-
guły nie przyznają się do niczego.
Łgają, jak łgają, jak płaczą się we
własnych zeznaniach, jak usiłują
oszuścić sąd. Byłem na rozprawie,
gdzie pobici twierdzili, że pobito
ich żelaznym kopytem i butelką,
sprawcy zaś utrzymywali, że był
to kij od szczotki użyty w obronie
własnej. Złamane żebra niepokoją-

WSIERPNIU 1950 r. rozbił
się w pobliżu Kairu samolot
lejący z Indii. Jednym z pa-
sażerów, którzy zginęli w katastro-
fie był polski architekt, Maciej No-
wicki.

Śmierć Nowickiego przeszała u nas
bez echa. Ludzie, którzy go znali,
doceniali stratę, jaką poniosła ar-
chitektura, oficjalnie jednak po-
mimo całej sprawę milczeniem.
Coż dla krzykaczy na wysokich
architektonicznych stanowiskach —
znaczyła śmierć jednego z najbar-
dziej utalentowanych twórców.
Przecież od kilku lat przebywał
poza krajem, nie brał udziału w
ich wiekopomnym dziele niszczenia
polskiej architektury.

Wiadomość, że Nowicki nie żyje,
była więcej niż tragiczna — była
wstrząsająca. Ten trzydziestokilku-
letni człowiek, który zaczynał do-
piero wypracowywać bardzo indy-
widualną formę wypowiedzi archi-
tekturalnej, stawał się — dla nas
młodych — symbolem odwagi, in-
wencji, niezależności. Był naszą na-
dzieją i naszą dumą. Patrzył na Je-
go rozwój i Jego sukcesy wierzy-
liśmy w potencjalne możliwości
polskiej architektury. Wierzyliśmy
w sens uporządkowania, sens sztuki,
sens naszego życia. Katastrofa sierp-
niowa była ciosem, ale ten cios utrwa-
lał w nas przekonanie o istnieniu
tego, o co w ciągu krótkiego życia
walczył Nowicki.

Był jedną z tych nielicznych dy-
namicznych postaci promieniują-
cych na całe otoczenie. Był inspi-
ratorem, który gorączkowo — jak-
by w przeciuciu bliskiej śmierci —
wyrzucał z siebie pomysły, koncepc-
je, teorie. Był kondensatem ta-
lentu, dla którego istniała jedna
sprawa — sprawa architektury. Był
zjawiskiem.

Niecodziennie — więcej: wyjąt-
kowość — postaci Nowickiego, to
wyjątkowość nie tylko w skali pol-
skiej. „Ci, którzy znali dobrze pra-
cę Nowickiego, ci którzy mogli o-
cenić jego możliwości i jego osią-
gnięcia nie mają wątpliwości co do
tego, że właśnie on, oredziej, niż kto-
kolwiek ze współczesnych, był za-
łożnikiem nowej epoki. Jego projek-
ty łączyły spontaniczność z dyscy-
pliną, siłę z uczuciem, formę z funk-
cją, mechanikę konstrukcji z sym-
bolem. To, czego nie zdążył doko-
nać, musi być spełnione wysiłkiem
całego pokolenia”. Tak pisał po śmier-
ci Nowickiego Lewis Mumford, je-

den z najwybitniejszych współcze-
snych teoretyków i krytyków ar-
chitektury. „Gdyby czas pozwolił
na pełny rozwój jego ogromnego
talentu, ten poeta i filozof formy
wpłynąłby na cały kierunek archi-
tektury tak silnie, jak wpływał na
swoich przyjaciół”. — To są słowa
Eero Saarinen, jednego z najdolu-
niejszych architektów młodego po-
kolenia.

W czym tkwiło znaczenie Nowic-
kiego, co wnosił nowego do świa-
towej architektury? Nowicki był
przedstawicielem pokolenia, które
uwolniło się od pojęcia doktryner-
skiej nowoczesności. Gdy kończył
przed wojną studia w Warszawie,
miał już okres pierwszego zachy-
lenia się modernizmem. Radyka-
lne teorie, architektura lat dwu-
dziestych będąca negacją eklekty-
zmu, wnosząca więcej buńczucnego
protestu, niż wartości w pełnym
sensie konstruktywnych, pozytywn-
nych — była już w zasadzie prze-
szłością, przeżywała kryzys, bar-
dzo istotny punkt przelomu, z któ-
rego prowadziła droga do sztuki
wnoszącej nowe, dojrzałe już wa-
rości formalne, do sztuki w pełni
humanistycznej. Architektura No-
wickiego, tak jak twórczość kilku-
nastu innych wybitnych architektów
rozwiązanych po całym świecie, zry-
wała z początkową jednostronnością
i zaślepieniem nowego kierunku.
Nowicki w równym stopniu cenil
Frank Lloyd Wrighta, co Michała
Aniela. Patrzył trzeźwo na osią-
gnięcia współczesności i osiągnięcia
przeszłości. Nie był buntownikiem —
był twórcą świadomym, dojrzałym;
twórczym kontynuatorem tradycji.

Polska jest krajem romantyków.
Nie przypadkowo ten okres histo-
rii przyniósł najbujniejszy rozkwit
naszej kultury. Ten górnolotny ro-
mantyzm, połączony z czystym roz-
dzieraniem szat, z klimywno pato-
sem; ten charakter narodowy, któ-
ry sprawiał, że taki kompozytor jak
Berlioz, równie egzaltowany i ro-
mantyczny okazuje się przez por-
ównanie trzeźwym Francuzem nie
pozbawionym rezerwy i zjadliwego
dowcipu, nazywającym naszego
Chopina „człowiekiem, który umie-
rał przez całe życie” — to cecha,
która bardzo często charakteryzuje
polskich twórców. Lubimy — nier-
szety — mglistość, wrzosa i wiesz-
by płaczące. Dlatego niezwykle
cennym przymiotem polskiego arty-
sty staje się dyscyplina i rozsądek.
Anatol France wzdrebnił trzy ce-

chy typowe dla sztuki francuskiej;
po pierwsze jasność, po drugie ja-
sność, po trzecie jeszcze raz jasność.
Architektura Nowickiego wnosiła
właśnie tę rzadko spotykaną na na-
szym terenie jasność i klarowność.

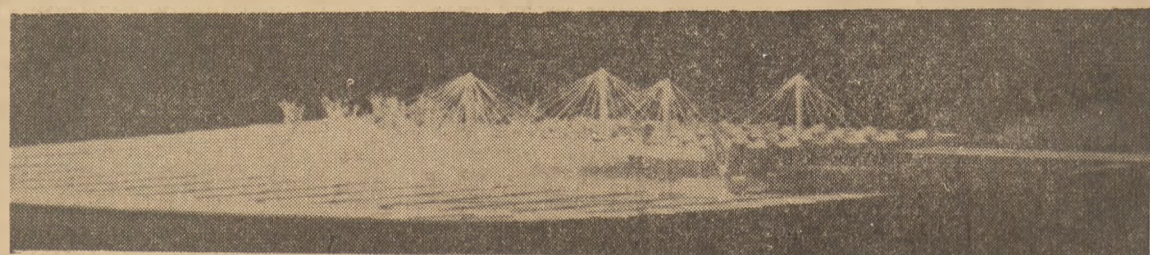
Wydaje się, że intensywność była
cechą zarówno jego życia, jak i je-
go sztuki. Projekty Nowickiego od-
znaczają się zadziwiającą koncentra-
cją, jednoznacznością. Ich emocja
jest uczuciem stęzłym w czystym
symbolu. Gorący pomysł, pomysł,
który rodzi się nie z kalkulacji, ale
z intuicji i przeżycia — przedczony
jest przez sito dyscypliny i logiki.
Ktoż pozbawiony wszystkiego, co
zbędne, doprowadzony do syntezy,
która wyklucza wszelką roziałość,
przypadkowość, wszelkie mętnia-
ctwo. Nowicki nie rysował wielkich
słów o architekturze; starał się te
sny transponować w świat realny,
w którym obowiązywał rygor przy-
czyn i skutków, a nie fantastyka
podświadomości. Jeżeli śnił, to śnił
ra jawnie. Dałki od wszelkiej roz-
wiązłości nie odkrywał, nie ujawni-
ał się bez reszty w swoich projek-
tach. Unikał brutalności, czy rozpa-
sania — posiadał dostateczny za-
pas kultury i rezerwy, żeby swoją
bardzo indywidualną architekturę
pobawić cech zarozumiałego su-
biektywizmu. Wydaje się, że No-
wicki projektując, przeprowadzał
ciągłe analizę każdego pomysłu; nie
sugerował się nim — starał się go
ocenić bezstronnie, trzeźwo, obiek-
tywnie.

Te wartości projektów Nowickie-
go są zdrowe i odkrywają na obec-
nym etapie rozwoju współczesnej
kultury. Rozwój gwałtowny, wy-
buch nowoczesnej sztuki rozsada-
jący wszystkie dawne kanony,
przesady i uprzedzenia — doszedł
do momentu, kiedy potrzebna była
chwilowa refleksja. Ludzie, którzy
stale pędzili naprzód nagle przysta-
neli i obejrzel się za siebie. Star-
ali się wyciągnąć wnioski nie

tylko ze współczesnych osiągnięć,
ale i z historii. Sztuka nowoczesna
przeżyła już swoją patetyczną,
chmurną i dumną młodość — za-
czyna dojrzeć, stabilizuje się,
scala poszczególne kierunki, indy-
widualne ścieżki w syntetyczną ca-
łość. Na tej zasadzie jedną z naj-
większych rewelacji współczesnej
muzyki stało się nie tak dawno od-
krycie twórczości — dziś już sta-
ruszka — Franka Martina. Martin
wydaje się syntezą współczesności
— mądrym stopem dodekafonizmu
i neoklasyzmu, awangardy i tra-
dycji.

Nowicki syntetyzuje w swoich
projektach współczesną romantykę
domów-roślin Wrighta, racjonalizm
Corbusiera i hasło Miesa „im mniej
tym więcej” z kulturą wynikłą z
tradycji. Podsumowuje wszystkie
osiągnięcia i wyciąga z nich pierw-
siawne. Przepuszcza przez swoją
indywidualność tendencje współ-
czesności, segreguje i ocenia. Swoją
wybuchową temperament rasowego
architekta normuje i trzyma w ry-
zach. Normy określa jego wiedza
o architekturze; jego poetyka podle-
ga prawom selekcji. Liczy się z ka-
żdym słowem, tak, jak Flaubert cy-
zelujący zdania powieści. I tak, jak
u Flauberta, z wybuchu: gorączko-
wej, intensywnej, pasjonującej bez
reszty pracy, rodzi się forma po-
zornie chłodna, ale kryjąca ogrom-
ny bagaż emocji.

Nowicki zbudował bardzo nie-
wiele. Większość jego prac pozosta-
ła w formie projektów i makiet.
Jak wielki jest jednak zakres od-
działywania i jaka jest odrębność
tych projektów, skoro w ciągu kilku
lat postawiły Nowickiego w świa-
towej czołówce architektury. Jego
największym sukcesem była pierw-
sza nagroda w międzynarodowym
konkursie na projekt nowego miast-
a we Wschodnim Pandzabie. Na-
grodę tę uzyskał przed Corbusie-
rem, a w konkursie brało udział
wielu bardzo wybitnych twórców.



Projekt dzielnicy handlowej w Kalifornii